

Wykaz bajek, baśni, legend kaszubskich autorstwa Janusza Mamelskiego.

1. O STWORZENIU KASZUB

Kiedy Bóg postanowił stworzyć świat, zaczął od uformowania kuli ziemskiej. W swym kształcie doskonała, była całkiem pusta. Wówczas wziął wielki worek, w którym pełno było gór, dolin i lasów, pól i jezior, rzek, mórz i innych rzeczy. Pochyliwszy się nad ziemią tworzył różne krainy. Tak powstały wielkie oceany i wysokie góry, ogromne lasy, zielone równiny i nagie pustynie.

Kiedy wszystko już było gotowe, Bóg z gliny ulepił człowieka i tchnął w niego życie. Potem stworzył aniołów, aby opiekowali się ludźmi. Wreszcie, nieco zmęczony, spoczął na niebieskim tronie i popatrzył na swoje dzieło.

- Tak,- powiedział zadowolony - to wszystko jest bardzo dobre. Spójrzcie, moi aniołowie, czyż świat nie jest piękny ?

Aniołowie z uznaniem kiwali głowami, potrząsając długimi, złotymi lokami. Bóg naprawdę się cieszył.

Wtedy właśnie dostrzegł, że w kącie stoi ktoś smutny. Szybko zerwał się ze swego miejsca, podbiegł do anioła, przytulił go i zapytał:

-Co się stało? Dlaczego nie cieszysz się razem z nami?

Był to anioł, który miał opiekować się Kaszubami. Zawstydzony czułością Boga nieśmiało odpowiedział:

-Ojczy, popatrz na ten biedny, kaszubski kraj. Ludzie są smutni. Zostawiłeś tam tylko jałowe, piaszczyste pola. Czy naprawę nie mogłeś dać im nic więcej? Nie szkoda Ci tego ludu?

Te słowa głęboko poruszyły Boga. Chwilę się zastanawiał, po czym rzekł:

- Nie martw się, chodź ze mną. Zobaczymy, chyba coś tam się jeszcze znajdzie.

Chwilę później Stwórca wytrząsał swój worek nad Kaszubami. Okazało się, że na dnie pozostały jeszcze różne okruchy; pagórki, rzeki i strumienie, jeziora, lasy, pola i łąki. Spadały one teraz na kaszubskie piaski, tworząc przepiękną mozaikę. Bóg był zaskoczony. Nie spodziewał się, że z resztek może powstać taka piękna kraina. Wszyscy pochylili się nad Kaszubami i z zachwytem spoglądali na te śliczne oczka wodne, na szachownice pól, łąk i lasów, na kręte rzeki i strumienie, obfitość zwierzyny, grzybów, jagód i innych leśnych owoców, na bogactwo ryb w jeziorach i na cudowne pagórki. A Pan Bóg znów zwrócił się do anioła Kaszub:

- Teraz masz pod swą opieką kraj piękniejszy od innych. Strzeż go dobrze i troszcz się o niego.

Anioł rzucił się do stóp Boga i gorąco dziękował.

- A tu masz wielki bursztyn – mówił dalej Bóg. – Jest cenniejszy niż ziemia, którą się opiekujesz. Niech spocznie w jednym z kaszubskich jezior. Gdyby tej krainie zagrażało kiedyś śmiertelne niebezpieczeństwo, wypłynie na powierzchnię i przyniesie jej ratunek.

Anioł znowu całym sercem dziękował Bogu. Potem gryf-skrzydlaty lew z głową orła-chwycił w swe szpony ten największy kaszubski skarb i w miejscu, gdzie obecnie znajdują się Kartuzy, wrzucił do wody.

Z tego właśnie powodu dziś w herbie Kaszub widnieje czarny gryf.

2.TABAKA

Trudno dziś w to uwierzyć, ale Kaszubi kiedyś nie zażywali tabaki. Nie znali nawet tytoniu, rośliny z której się ją wyrabia. A trafiła na Kaszuby tak:

W północnej części tej krainy żył bardzo uczynny i wyrozumiały chłop. Był dobry dla żony i dzieci. Nawet z sąsiadami żył w zgodzie. Był taki radosny i dla wszystkich życzliwy, że szybko wybaczano mu drobne słabostki, które przecież miał, jak każdy człowiek.

Bardzo złościło to diabła. Od dawna zastanawiał się, jak skusić tego chłopca do ciężkiego grzechu albo, jeszcze lepiej, zdobyć jego duszę. W końcu wymyślił iście szatański plan. Zorał pazurami kawał ziemi i zasiał tytoń. Potem zapędził do roboty młode diabły, które tajemnymi sposobami sprawiły, że po tygodniu ziele było już wyjątkowo dorodne.

Pewnego dnia przechodził tamtędy nasz chłop. Na to właśnie czekał diabeł. Od razu też wyszedł mu naprzeciw w ludzkiej postaci.

- Uszanowanie, dzień dobry – przywitał się grzecznie.
- Na wieki wieków... - niepewnie odpowiedział chłop zdziwiony takim powitaniem.
- Czy mógłbyś mi pomóc, szanowny gospodarzu – prosił czart.

Chłop zaraz się ożywił, gdyż zawsze gotowy był nieść pomoc.

- Pierwszy raz zaszedłem w te strony i widzę tu jakieś nowe ziele- ciągnął diabeł niewinnym głosem. - Nie znam go i bardzo ciekaw, jak się nazywa i co się z niego robi. Pewnie mieszkasz w tej wiosce, może nawet jest to twoje pole i z pewnością zdradzisz mi nazwę tej rośliny.

Chłopu niezręcznie było teraz się przyznawać, że choć tu mieszka i ma niedaleko swe pole, pierwszy raz widzi taką roślinę. Nieznajomy mógłby pomyśleć, że nie chce mu pomóc i wycofuje się z tego, co tak chętnie obiecał.

- No... tak..., oczywiście, że wiem, ale właśnie ta nazwa wyleciała mi z głowy. Poczekaj, zaraz pójde i zapytam się żony – próbował ratować się chłop.
- A... , to cudownie, jesteś bardzo uprzejmy, ale nie musisz się spieszyć. Przyjde tu jutro o tej samej porze, wtedy mi powiesz. Trzymam cię za słowo – cieszył się diabeł.
- Dobrze, bede tu jutro – brnął dalej chłop, choć coraz mniej mu się to podobało, a zwłaszcza chytry uśmieszek nieznajomego.
- Chyba nie chcesz mnie oszukać? – upewniał się jeszcze diabeł.– Na wszelki wypadek obiecaj, że gdybyś nie dotrzymał słowa, oddasz duszę diabłu, bo on przecież jest ojcem łgarzy.

Cóż miał robić biedny chłop. Tak to już jest, że jedno kłamstwo pociąga za sobą drugie i do niczego dobrego nie prowadzi.

- Zgoda – wykrztusił przestraszony.

Wtedy nieznajomy na powrót zamienił się w czarta i zaśmiał szyderczo:

- Teraz cię mam, chłopie, nigdy się nie dowiesz, jak nazywa się zielsko, które tu posiałem! Nigdy!!! Jutro będziesz już należał do mnie!

Cóż było robić? Strapiony i przerażony chłop odwrócił się i powlókł ku domowi. Wszedł do izby, usiadł za stołem i spuścił głowę. Jego żonę bardzo to zaniepokoiło. Jęła męża wypytywać. Z początku nie chciał nic mówić, w końcu jednak opowiedział jej o całym zajściu.

- No tak, tak to jest, jak ktoś dla dobra, używa tego co złe. Nie należało łągać !

Ale tak naprawdę zrobiło jej się bardzo żal poczciwego chłopca. Wiedziała, że chciał dobrze. Chwilę pomyślała i rzekła:

- Nie martw się. Nie na darmo Bóg dał chłopu kobietę. Zobaczysz, wybawię cię z kłopotu.

Rano wysmarowała swoje ubranie smołą i oblepiła je piórami. Potem poszła na diabelskie pole i zaczęła skakać, deptać ziele i tarzać się po nim. Młode diabły szybko zaalarmowały chytrego czarta. Ten wkrótce przyleciał oburzony:

- A to co? Coś ty za jedna! A pójdziesz ty mi stąd! A sio! Wynocha z mojego tytoniu! A z czego ja zrobię tabakę?! Uciekaj mi stąd czym prędzej !

Teraz kobieta mogła już wrócić do domu i powiedzieć chłopu, że roślina nazywa się tytoń i robi się z niej tabakę. Kamień spadł mu z serca.

Szczęśliwy ruszył na spotkanie z diabłem. Czart, nieświadom tego, co się stało, również się cieszył. Trochę jednak zaskoczyła go radość chłopca.

- No, szybko, gadaj, jak nazywa się to ziele?- niecierpliwił się diabeł.
- Tytoń.

- Coś powiedział ?
- Tytoń – spokojnie powtórzył chłop - i robi się z niego tabakę.

Tego diabeł się nie spodziewał. Wpadł w wielką wściekłość. Teraz zrozumiał, kim była ta dziwna poranna zjawą. Znowu przegrał i upokorzony uciekał do piekła.

Diabelską rolę przejął chłop. Skoszony tytoń wkrótce wysechł i się pokruszył. Kiedy gospodarz wąchał ten aromatyczny proszek, niechcący wciągnął odrobinę do nosa. Efekt był taki wspaniały, że zwyczaj zażywania tabaki szybko rozprzestrzenił się na całe Kaszuby i przetrwał do dziś.

Sprytnej żony kaszubskiego chłopca nikt już chyba nie pamięta, może tylko najstarsi Kaszubi, którzy tabakę nazywają czasem diabelskim zieleciem.

3. O ZAKŁĘTYM WOJSKU I KRÓLU KASZUBÓW

Pomorze było niegdyś wielką i silną krainą. Rozciągało się od Gdańska do Szczecina i jeszcze dalej, aż po wyspę Rujanę, dzisiejszą Rugię. Zamieszkiwali ją Pomorzanie, zwani też Kaszubami. Przez wiele wieków żyli spokojnie, polowali, uprawiali ziemię, łowili ryby, hodowali zwierzęta i zajmowali się rzemiosłem. Kiedy było trzeba, pod wodzą swojego księcia ruszali w bój bronić ojczyzny. A był to, i do dziś pozostał, lud bardzo dzielny i twardy, w walce uparty i nieustępliwy, w pracy wytrwały i sumienny, w domu gościnny oraz życzliwy.

Dźwięczna kaszubska mowa rozbrzmiewała w wielu bogatych grodach, w nadmorskich wioskach, wśród malowniczych lasów, jezior i nieurodzajnych pól. Kaszubi, przywiązani do swych zwyczajów, przekazywali je swoim dzieciom i wnukom. Dzięki temu przetrwały przez wiele pokoleń.

Choć sami nigdzie nie szukali zdobyczy, sąsiedzi nieraz usiłowali ich podbić. Pomorze było duże i silne, lecz sąsiedzi z czasem posiadli moc kilkakrotnie większą. Daremnie Kaszubi usiłowali z nimi walczyć. Z upływem lat ich ziemie kurczyły się coraz bardziej. Z każdym wiekiem zabierano coraz więcej terenów. Próbowano zniszczyć kaszubską mowę i zwyczaje, wymazać u młodych pokoleń pamięć o ojcach i dziadach. Jednak nikomu nie udało się to do końca. Kaszubi trwają.

A jeśli przyjdą czasy najgorsze i najcięższe, będą mieli do pomocy swoich dzielnych wojowników. Albowiem, kiedy przeważający liczebnie wróg odrywał od Pomorza kolejne krainy, rycerze pomorscy wchodzili do grot i jaskiń, wydrążonych pod wysokimi wzniesieniami Kaszub. Zakrywali wejścia i pogrążali się w głębokim śnie. Śpią tak i czekają do dziś, ukryci przed ludzkimi oczami. Obudzą się dopiero wtedy, gdy trzeba będzie stanąć do nowej walki.

Różne miejsca wskazuje się jako siedziby zaklętych rycerzy. Widywano ich w pobliżu Rowokołu i niedaleko Lęborka, ukazywali się u stóp góry Garecznicy nie opodal Kartuz i w wielu jeszcze innych miejscach.

Posuwali się szeregami, olbrzymi, okuci zbrojami, w hełmach i z długimi brodami, w dłoniach trzymali wielkie miecze, topory i kopie. Czasami jechali na dużych, silnych koniach. Bywało, że prowadzili ze sobą kowala, kiedy indziej księdza. Wiele razy jechały za nimi wozy załadowane zbożem i sianem. Często też wieźli beczki z wodą.

Niektórzy słyszeli echa ich śpiewów. Innym wydawało się, że rozpoznawali wodzów. Raz był to Racibór ze Sławna, kiedy indziej sam Mściwój II, a czasem Wielki Świętopełk lub jeszcze inni książęta.

Wielu ludzi szukało wejść do tych tajemniczych pieczar, ale nikt, przynajmniej spośród żywych, żadnego nie znalazł. Tylko raz, bardzo dawno temu, dwóch młodych mężczyzn odkryło niedaleko Bytowa tunel prowadzący do przepięknej, niemal rajskiej krainy. Znajdował się tam zamek a w nim na tronie zasiadał sędziwy król Kaszub. Pokrzepił on młodzieńców opowieścią o swoim śpiącym wojsku i polecił te słowa przekazywać wszystkim Kaszubom. Na dowód ich prawdziwości podarował śmiałkom swój królewski pierścień.

Podobno i sam czart próbuje odszukać zaklęte wojska, ale trzodzi się daremnie. Wali gromami, siecze ulewami i sztormami, przewraca drzewa, wzburza potoki i w końcu odchodzi zrezygnowany.

Zaklęte wojsko ukaże się dopiero wtedy, gdy przyjdzie czas walki, gdy ich ojczyzna znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

4. O STOLEMACH

TEKST1

Zanim Kaszubami całkowicie zawładnął człowiek, panami tej krainy były stolemy. Kształtem przypominały ludzi, ale wzrostem przewyższały ich kilkakrotnie. Posiadały też ogromną siłę. Drzewa wyrwały niczym źdźbła trawy. Ciskały wielkimi głazami jak ziarnkami grochu. Jednym słowem były to olbrzymy.

Nic dziwnego, że ludzie bali się stolemów, schodzili im z drogi i kryli się przed nimi. Olbrzymy jednak zdawały sobie sprawę, że jest ich coraz mniej, a ludzi coraz więcej.

Któregoś dnia dwa stolemy leżały nad brzegiem morza i odpoczywały w cieniu drzew. Rozprawiwały o tym i o owym, aż pomału ich rozmowa zeszyła na temat ludzi.

- Jest ich coraz więcej – rzekł starszy.
- Wycinają lasy i zakładają pola – dodał młodszy.
- Wyławiają ryby z jezior, zabierają nam jagody, grzyby i orzechy.
- Budują nowe wioski i rozbudowują stare.
- Oj! niedobrze z nami!
- Niedobrze!

I tak od słowa do słowa uradzili, że trzeba ludzi zniszczyć. Najpierw jednak, by zebrać siły, ucięli sobie krótką drzemkę.

Całą tę rozmowę słyszał młody, sprytny rybak. Przestraszył się bardzo, ale głowy nie stracił. Cichutko wszedł na sosnę i szyszką rzucił w nos starszego stolema. Ten poderwał się i mówi do młodego:

- Ty! bez głupich żartów, dobra!?
- No co ty, nic przecież nie zrobiłem – tłumaczył się młody.
- Spróbuj jeszcze raz a zobaczysz...!

Kiedy znowu usnęli, rybak rzucił szyszką w nos drugiego stolema. Teraz ten, choć młodszy, rozgniewał się na drugiego, ale szybko dał się udobruchać.

Rybak po chwili znowu rzucił w starszego, później jeszcze raz w młodego i rzucał tak długo, aż doszło między nimi do ostrej sprzeczki. Ta zaś szybko przerodziła się w bójkę. Nie była to zwykła walka. Starszy nie chciał pozwolić, by pokonał go jakiś młokos. Młody miał już dosyć ustępowania starszemu i uznał, że czas mu pokazać, kto tu jest silniejszy. Od szarpaniny szybko przeszli do tarzania się w piachu a potem w ruch poszły pięści. Następnie obydwaj zaczęli wyrwać drzewa i walczyć nimi jak maczugami. Grube pnie trzaskały jak zapałki. Brali wtedy nowe, aż wkoło zrobiło się pusto.

Młody rybak szczęśliwie zdążył zejść ze swej sosny i uciec do domu. Z daleka przyglądał się tej straszliwej walce i zaczął nawet żałować swego postępu.

Stolemy natomiast walczyły dalej. Zapadł zmierzch, a bitwa nie ustawała. Może przerwałaby ją noc, lecz wraz z nią pojawiła się burza. Pioruny oświetlały walczących, a ci sięgnęli po nową broń. Spod kaszubskich piachów dobywali kawałki skał i rzucali nimi do siebie. One zaś, mijając ciała olbrzymów, leciały dalej.

Do dziś można je znaleźć w najróżniejszych zakątkach Kaszub. Niektóre leżą tak, jak spadły; przy drogach, nad brzegami jezior i wśród pól. Inne rozbijały się na drobne kawałki i spadały na ziemię jak nasiona. Przez wieki Kaszubi zbierali je ze swych pól, lecz wcale nie widać, by było ich mniej. Brukowali nimi drogi, wznoszono z nich fundamenty domów i mosty. Ich niezliczona liczba daje wyobrażenie o tym, jak zaciekle była walka stolemów.

W końcu jednak olbrzymom zabrakło sił. Legli znów obok siebie, niewładni już ruszyć ręką ani nogą. Wtedy znów odezwał się starszy:

- Przyznaj się, dlaczego we mnie rzucałeś szyszkami?
- Przysięgam ci bracie, że to nie ja – jęknął młodszy.
- Ja też w ciebie nie rzucałem. – wysapał starszy.
- To znaczy, że zrobił to ktoś inny.

Wtedy przyszła im do głowy pewna myśl:

- To musiał być jakiś człowiek – resztką sił wykrzyknęli prawie jednocześnie. Ale nie byli już w stanie cokolwiek zrobić. Nim zasnęli na wieki, stary jeszcze dodał:
- Widać ten mały stwór jest od nas o wiele mądrzejszy. Jeśli wszyscy ludzie są tacy, to prędzej czy później ziemia będzie należała do nich.

Po tych wydarzeniach inne stolemcy długo jeszcze żyły z ludźmi w zgodzie. Niemniej słowa starego olbrzyma w końcu się spełniły. Dziś pozostały po nich jedynie kamienie i pozostaną pewnie jeszcze bardzo długo. Może nawet dłużej niż ludzie...

TEKST2

W okolicy Sulęczyna zawędrował raz pewien stolem, który szukał sobie żony. Sam mieszkał w lasach mirachowskich, ale tam żadna panna mu się nie spodobała. Słyszał, że ładne stolemki mieszkają na południe od Sierakowic. Był tu zaledwie pół dnia, a spotkał już co najmniej kilka urodziwych dziewcząt.

- No, no, prawdę powiadali – mrucał do siebie. – Niby od przybytku głowa nie boli, ale obawiam się, że czeka mnie niełatwy wybór.

Drugiego dnia nasz stolem zatrzymał się nad jeziorem Mausz. W wodzie pluskała się grupa stolemek. Zobaczyły na brzegu nieznanego i trochę się przestraszyły, ale wkrótce wróciły do radosnych igraszek. Tylko jedna częściej od innych zerkała w jego stronę. On prędko to zauważył. Zaczął przyglądać się jej dokładnie.

- Ładna. Mocne uda, szerokie biodra. A jakie grube ramiona! – oceniał w myślach jej walory. – Głowa też wielka i silna szyja. Zaczyna mi się podobać. Gruby, donośny głos, szerokie wargi i długi, orli nos. Byłaby dobrą żoną.

Kiedy stolemki wychodziły z wody, ona dyskretnie uśmiechnęła się do niego. W jej ustach zajaśniał równy szereg szarych zębów.

- Piękna! – omal nie wykrzyknął stolem. – To musi być ona. Jest najpiękniejsza spośród wszystkich istot na ziemi.

Biedny stolem nie wiedział, w jakie pakuje się kłopoty. Stolemka znana była w okolicy ze swych kaprysów. Kochało się w niej wielu kawalerów, ale ona gardziła wszystkimi. Najpierw się do nich wdzięczyła, a potem stawiała coraz trudniejsze warunki. W ten sposób zniechęciła do siebie bardzo wielu młodzieńców.

Gdy dziewczęta wchodziły do lasu, stolemka jeszcze raz obróciła się do stolema i uśmiechnęła znacząco. Nasz amant powoli ruszył za nimi. Grupka powoli topniała, co rusz ktoś się od niej odłączał. W końcu i obiekt westchnień stolema skręcił w boczną drogę i dalej kroczył samotnie. Wtedy zamienili ze sobą pierwsze słowa:

- Podobam ci się? – zapytała.

- Nawet.

- Skąd jesteś, pewnie z daleka?

- Z lasów mirachowskich – odparł stolem.

- Czego tu szukasz?

- A tak, się rozglądam. A ty? Daleko mieszkasz?

- Nie, w Parchowskim Borze. Zaraz będziemy na miejscu. Może się u nas zatrzymasz?

- No nie wiem..., a czy to wypada...?

- Nie przejmuj się. Moi rodzice na pewno się zgodzą.

Rodzina stolemów mieszkała w niewielkiej dolinie, wśród lasów. Ojciec i matka stolemki okazali się bardzo mili i gościnni. Nazajutrz młodzi wybrali się na przechadzkę. Nie uszli jednak daleko, kiedy stolemka powiedziała:

- Muszę już wracać.

- Jak to? – zdziwił się stolem. – Dopiero co wyruszyliśmy?

- Widzę, że zaczynasz traktować mnie jak swoją dziewczynę.

- I co w tym złego? Podobasz mi się. Nie odpowiadam ci? Myślałem, że mnie lubisz.

- Jeszcze nie wiem. Nie myśl, że jestem taka łatwa. Jeśli ci na mnie zależy, to zrób coś dla mnie.

- W porządku, ale co?

- Moi rodzice zawsze chcieli mieć młyn. Zbuduj im młyn tu, gdzie mieszkają.

- Ależ tam nie ma żadnej rzeki! – zdumiał się stolem.

- Wymyśl coś. Jeśli to zrobisz, zostanę twoją dziewczyną.

Stolem najpierw długo myślał, a potem wziął się do roboty. Zaczął kopać koryto dla nowego strumienia. Pracował w znoju kilka tygodni, posuwał się wytrwale w kierunku jeziora Mausz. Poprowadził z niego wodę wprost przed chałupę stolemów. Tak powstała Parchowska Struga, a przy niej Parchowski Młyn.

- Chodź, moja dziewczyno, pójdziemy obejrzyć twój nowy młyn – po skończonej robocie zadowolony rzekł do stolemki.

- Brawo, dzielnie się spisałeś. Chodź, mój chłopaku – powiedziała uradowana stolemka i podała dłoń swemu wybrakowi.

- Twoi rodzice byt mają zapewniony. My będziemy mogli powrócić do mirachowskich lasów-romarzył się stolem.

- Hola, hola! Na razie jestem dopiero twoją dziewczyną, ale do żeniaczki jeszcze daleko – studziła zapały młodzieńca stolemka.- Najpierw muszę zostać twoją narzeczoną, ale zanim to się stanie, musisz udowodnić, że naprawdę mnie kochasz.

- Ależ bardzo cię kocham, moja najdroższa! Jak mam ci to udowodnić?

- Usyp dla mnie wyspę na jeziorze. Bardzo lubię przebywać pośród fal.

I nasz stolem wziął się znowu do roboty. Kopał ziemię i nosił w swej koszuli na środek jeziora, gdzie ją wysypywał. Zadanie nie było łatwe. Fale często zabierały to, co stolem zdołał przynieść. Ale śmiałek nie rezygnował. Stolemka przyglądała się temu z uśmiechem. Inne dziewczyny zazdrościły jej kochanka. Żałowały też młodzieńca, bo wiedziały, jaki los go czeka; gdy sprzykrzy się stolemce, ta odprawi go z kwitkiem. Znalazły się nawet takie, które powiedziały mu o przewrotnym go charakterze stolemki, ale nie chciał im wierzyć.

W końcu wyspa była gotowa. Trwało to prawie dwa miesiące. Czego jednak nie robi się dla miłości? Wkrótce w Parchowskim Młynie odbyły się zaręczyny. Rozochocony stolem próbował uzgodnić datę ślubu.

- Nie mogę ci jeszcze nic powiedzieć. Nie mam pewności, że będziesz mi wierny – wymigiwała się od odpowiedzi stolemka.

- Przecież widzisz, że dla ciebie gotów jestem zrobić wszystko – przekonywał stolem.

- Wszystko? – nie dowierzała dziewczyna.

- Wszystko.

- No to usyp mi jeszcze dwie wyspy na Jeziorze Gowidlińskim.

W pół roku dwie wyspy były gotowe. Ale nasz stolem wyglądał coraz gorzej; schudł, zmizerniał i sposepniał.

- Teraz mi powiesz, kiedy możemy się pobrać?

- Jeszcze nie wiem. Może zrobisz dla mnie coś wyjątkowego?

- Na przykład co? – zapytał narzeczonny.

- Nie wiem, wymyśl coś, coś romantycznego.

Na którymś spacerze stolem ni stąd ni zowąd zaczął rzucać kamieniami. Zbierał z okolicy wszystkie głązy i rzucał w kierunku Węsior.

- Co robisz? – pytała stolemka.

- Niespodziankę dla ciebie. Zobaczysz niedługo – odpowiedział stolem i zaprowadził swą wybrankę do Węsior. Tam stolemka ujrzała kamienie, którymi rzucał jej narzeczonny, ułożone w kilka kręgów.

- To naszyjnik dla ciebie, moja miła. Chciałaś czegoś wyjątkowego, romantycznego, prawda?

- Jesteś cudowny, to wspaniałe! Dziękuję ci bardzo, najdroższy.

- Teraz za mnie wyjdiesz?

Ale stolemka była już znudzona swym narzeczonym i jego awansami. Jej koleżanki dziwiły się, że chodzi z nim już tak długo, więc miała ochotę już się go pozbyć. Szukała sposobu, żeby go zniechęcić, jakiegoś trudnego zadania, którego by się nie podjął. Powiedziała więc do niego:

- Najpierw zrób coś jeszcze.

- Dla ciebie wszystko, najmilsza.

- Połącz Jezioro Gowidlińskie z Mauszem. Wiesz, jak bardzo kocham wodę. Proszę cię, zrób to dla mnie w prezencie ślubnym.

- Ależ to potrwa dłużej niż rok!

- Czy nie warto pracować dla mnie rok?

I stolem znowu zaczął kopać. Tego stolemka się nie spodziewała. A musicie wiedzieć, że w tamtych czasach Jezioro Gowidlińskie kończyło się koło Borka, w miejscu, gdzie do dziś jest wyraźne zwężenie. Minął miesiąc, potem drugi, a stolem pracował niestrudzenie. Teren między jeziorami dzięki jego pracy stopniowo się obniżał. Wokół Sulęcyna przybywało pagórków usypanych z ziemi wykopanej przez stolema. Stolemka przyglądała się pracy narzeczonego i zastanawiała, jak to się skończy. Minęły następne miesiące, Jezioro Gowidlińskie rozlewało się

już prawie do Żakowa. Ale stolem pracował coraz wolniej. Przez następny kwartał wykopał dół, w którym dziś szumią fale jeziora Węgorzyno. Stolemka z przerażeniem obserwowała, jak życie uchodzi z jej kochanka. Stolem zdołał jeszcze wykopać kilka dołów między Sulęcynem a Żakowem i padł wyczerpany, nie dokończywszy zadania.

- Nie mam już sił, najmilsza – szeptał z trudem do narzeczonej. – Pamiętaj o mnie. Znajdź sobie kogoś silniejszego ode mnie, ale pamiętaj, że kochałem cię ponad życie.

Gdy mówił te słowa, w stolemce coś ostatecznie pękło. Zrozpaczona postanowiła za wszelką cenę ratować narzeczonego. Zbierała zioła, parzyła je, sporządzała maści, gotowała specjalne potrawy, opiekowała się nim w dzień i w nocy. Długo trwała walka o życie stolema, w końcu jednak widać było, że zaczyna wracać do sił. Te miesiące do reszty odmieniły charakter pięknej stolemki. Teraz młodzi stanowili piękną, kochającą się parę. Wkrótce się pobrali i zamieszkali w lasach mirachowskich. Często jednak wraz z liczną gromadą dzieci odwiedzali teściów, opalali się na wyspach lub na brzegach jezior.

TEKST 3

Wdzydzana zaś żyła spokojnie w wodach rodzinnego jeziora, ukazywała się rybakom i często śpiewała dla wieśniaków. Z radością spoglądała na wyspę i na znajomą wieś.

Aż pewnego dnia ujrzał ją stolem, który akurat przechodził w pobliżu. Serce zabiło mu mocniej. Zakochał się i zapragnął zdobyć tę uroczą zjawę. Ale Wdzydzana nie chciała oddać się stolemowi, więc szybko zniknęła mu z oczu.

Ten rozpoczął poszukiwania. Zaczął kopać w miejscu, w którym zniknęła rusałka. Pracował kilka godzin, lecz niczego nie znalazł. Drugiego dnia zobaczył ją w innym miejscu. Sprowadził do pomocy swych braci i wspólnie prowadzili poszukiwania, ale Wdzydzany nigdzie nie znaleźli. Później ujrzeli ją kilka razy w różnych miejscach, więc i je rozkopali. We wszystkie rowy od razu napływała woda. W ten sposób powstały liczne odnogi, które jezioro posiada do dziś. Stolemy w dwóch miejscach przekopały też wyspę, dzieląc ją tym samym na trzy.

Któregoś dnia Wdzydzaną dostrzeżono na środku jeziora. Stolem natychmiast nabrał w koszulę ziemi, by rzucić na wodną pannę. Pech chciał, że rozdarło się stare płótno, a ziemia spadła do wody tuż przy brzegu i powstał tam mały cypel. Rozzłoszczony olbrzym chwycił wielki kamień i rzucił, celując w rusałkę. Ona na szczęście umknęła, zaś głaz wbił się głęboko w dno, tworząc tam wielką głębię.

Zrezygnowane stolemy w końcu odeszły w swe strony. Na jeziorze zapanował wreszcie spokój, ale miało ono teraz dziwny kształt, posiadało wiele odnóg i trzy wyspy. Największą z nich nazwano Sorka, a jezioro - Wdzydzkie.

Jeśli ktoś potrafi pokochać je tak jak Wdzydzana, może ujrzy tam kiedyś wodną pannę i usłyszy jej piękny śpiew.

5. O DIABELSKIM KAMIENIU

TEKST 1

W jednym z wielu przepięknych zakątków kaszubskiej ziemi, wśród rozległych, dziewiczych lasów, między dwoma cichymi jeziorami miał swą chatę pracowity rybak Mirach. Choć żył uczciwie, spotkało go wielkie nieszczęście – umarła mu młoda żona i osierociła małą córeczkę. Mirach wszystkie swoje uczucia przejął z matki na córkę i zajął się nią bardzo troskliwie. Drugi raz się nie ożenił.

Lata szybko mijały i z małej córki wyrosła urodziwa panna, która bardziej troszczyła się o ojca niż on o nią. Rybak wiedział, że wkrótce córka znajdzie sobie męża, a on zostanie sam, niepotrzebny nikomu. Może właśnie te smutne myśli prowadziły go czasem do karczmy, która znajdowała się akurat po drodze z kościoła do domu, przy brodzie na Łebie.

Martwiło to dziewczynę tym bardziej, iż ojciec nie zawsze w porę kończył picie. Wtedy córka wyruszała po niego i przyprowadzała do domu. Raczej dobrocią niż złością próbowała skłonić ojca do zmiany postępowania. On kochał ją za to jeszcze bardziej, ale do karczmy ciągle zaglądał.

Przy kuflu głośno chwalił się wdziękiem i dobrym sercem córki, a kompani skwapliwie mu przytakiwali, gdyż widywali dziewczynę, kiedy przychodziła po ojca. Niejeden się w niej podkochiwał, a sam karczmarz, najbogatszy w okolicy, postanowił się z nią ożenić.

- Mirachu, –zagadnął kiedyś – a nie chciałbyś mi oddać swej córki?

Widząc niezadowolenie rybaka, przekonywał go coraz goręcej.

- U mnie będzie miała dobrze. Niczego jej nie zabraknie, będę dla niej niczym ojciec.

- Najlepiej spytaj się jej – uciał rozmowę Mirach.

Tymczasem córka myślała już o kimś innym. Kiedy swym zwyczajem zachodziła na grób matki, nie wracała od razu do domu. Zbiegała stromym zboczem nad drugie jezioro i zażywała kąpieli, a potem siadała na brzegu i śpiewała. To właśnie jej piękny śpiew zwał w to miejsce przystojnego młodzieńca. Wyłonił się nagle zza drzewa i skłonił przestraszonej pannie. Ta zaś, złękciona, gwałtownie zerwała się z miejsca, potknęła o kamień i byłaby runęła na ziemię, gdyby nie zręczność kawalera. Zdążył podbiec i złapać ją w silne ramiona.

- Kim jesteś, luby gościu? – wyszeptała dziewczyna.

- Twym uniżonym sługą, o pani. I pragnę pozostać nim do końca życia – powiedział zachwycony młodzieniec.

Młodzi od razu przypadli sobie do serca. Odtąd często można było ich ujrzeć, jak spacerują wokół jeziora, które do dziś nosi nazwę Lubygość. Zaś w miejscu, gdzie córka rybaka padła w ramiona ukochanego, rośnie stary buk, a w jego objęciach smukły grab.

Tymczasem stary karczmarz, widząc, że nie ma u dziewczyny żadnych szans, uknuł podstępny plan. Którejś niedzieli ogłosił, że z okazji swych urodzin cały dzień wydaje trunki za darmo. Dla Miracha była to pokusa nie do odparcia. Kiedy już nieźle szumiało mu w głowie, karczmarz przystąpił do niego i rzekł:

- Daleko masz do domu, Mirachu.

- Ano daleko, ale na pewno przyjdzie po mnie córka - odparł rybak.

Ale tego właśnie dnia dziewczyna jakoś nie mogła się rozstać z oblubieńcem. Coś ją wstrzymywało, czuła dziwny lęk, jakby ciemna moc krążyła nad tą okolicą. Do tego pod wieczór rozpętała się burza, więc narzeczoną do domu odprowadził w końcu młodzieniec. Nie zostawił jej tam samej, lecz razem czekali na ojca.

Karczmarz tymczasem realizował swój plan.

- Mam dla ciebie propozycję, drogi bracie – odezwał się znów do Miracha, stawiając przed nim kolejny kufel piwa.

- Wiem, wiem, chodzi ci o moją córkę – wymamrotał pijany rybak – ale już ci mówiłem, rozmawiaj z nią samą.

- Oddam ci moją karczmę! – zaproponował.

- Co takiego? Eee...jakiś żarty się ciebie trzymają – machnął ręką Mirach.

- Oddam ci moją karczmę, jeśli wygrasz zakład – ciągnął karczmarz.

- A jeśli przegram, to weźmiesz moją córkę? O, nie – dość przytomnie odparł rybak.

- Poczekaj, jeszcze nie wiesz, co to za zakład.

Rybak znowu okazał zainteresowanie, a stary kawaler namawiał dalej:

- Zbuduję ci drogę do domu, na skróty, prosto przez jezioro.
- Kiedy? – zapytał zaskoczony.
- Jeszcze dziś w nocy. Do rana będzie gotowa – odrzekł karczmarz.

Mirach z niemałym trudem skupił wszystkie swe myśli. Rozsądek mu podpowiadał, że jest to niemożliwe i że wygra zakład, a tym samym będzie miał karczmę. Myślał, myślał i w końcu się zgodził.

Nie śpieszył się więc do domu, tym bardziej, że za oknem szalała burza. Kiedy jednak zbliżał się świt, wyruszył sprawdzić, jak przebiega budowa grobli. Zimne, nocne powietrze i deszcz trochę go orzeźwiły. Po uciążliwym marszu dotarł wreszcie nad jezioro. Jakże bardzo się przeraził, gdy ujrzał kamienną drogę wiodącą przez jego środek. Do drugiego brzegu brakowało już niewiele. Zobaczył też straszną postać, która z niezwykłym pośpiechem uwijała się przy grobli. To latał diabeł. Znosił wielkie głazy i wrzucał do jeziora. Zawarł bowiem pakt z karczmarzem, w zamian za budowę grobli miał otrzymać jego duszę.

Wtedy rybak zrozumiał, że padł ofiarą spisku. Strasznie się tym zasmucił. Najbardziej było mu żal córki. A ona właśnie nadbiegła wraz ze swym ukochanym. Zobaczyli dziwnego budowniczego, lecz nie rozumieli, co się tu dzieje. Ojciec z płaczem wszystko im opowiedział, padł na kolana i gorąco przeproszał.

- Ojczy, nie czas teraz na lamenty – powiedziała dziewczyna. – Trzeba działać.

Potem zwróciła się do ukochanego:

- Pędź czym prędzej do domu i obudź koguty.

A kurczowo zaciskając dłonie, szepnęła jeszcze do siebie:

- Obyś zdążył.

Chłopak gnał, jakby mu wichur dął w plecy. Pędem wpadł do kurnika, aż ptactwo podniosło wrzask, a kogut przeraźliwie zapiał.

W tym momencie diabeł dźwigał ostatni kamień i był już nad samym brzegiem. Na odgłos koguciego piania przestraszył się, upuścił głaz i wpadł do jeziora. Ze złości trzasnął łańcuchami w kamień, aż ten pękł. Zaś woda w jeziorze do dziś jest brunatna od diabelskiej sady.

Czart, wyszedłszy z kąpieli, zaczął uciekać do piekła. Nad Lubygościem znów usłyszał pianie koguta, a że był już bardzo osłabiony, po raz drugi zanurzył się w wodzie. Ona także natychmiast zmieniła barwę na brunatną.

W ten sposób młodzieniec ocalił swą wybrankę. Zawstydzony karczmarz opuścił te strony na zawsze. Rybak oddał wygraną w zakładzie karczmę młodemu, którzy szybko dorobili się całej gromadki dzieci. Wokół karczmy powstała wioska, którą nazwano Miłoszewo, bo młodzi bardzo się miłowali. Najstarszemu synowi dali na imię Mirach, po dziadku. Ten przeniósł się nieco dalej za jezioro i założył wieś Mirachowo.

Diabelski kamień ciągle jeszcze spoczywa na brzegu jeziora, które od niego wzięło swą nazwę – Kamienne.

TEKST 2

Już od wielu wieków w lipcu Kaszubi licznie udają się do Gdańska na odpust świętego Dominika. Kiedyś pielgrzymki te miały bardziej religijny charakter. Przybywano, aby się pomodlić, wypowiedać i zmienić na lepsze. Pomagały w tym nauki ojców Dominikanów, znakomitych kaznodziejów. Nie na darmo ich zakon nosi nazwę kaznodziejski.

Te pielgrzymki bardzo złościły diabła. Długo myślał, jak by tu Kaszubom utrudnić drogę i zniechęcić ich do wędrówki. W końcu postanowił zatarasować wejście do miasta. Chciał wielkim głazem zablokować Bramę Wyżynną.

Długo latał nad Kaszubami w poszukiwaniu odpowiedniego kamienia. Czas mijał, odpust był coraz bliżej, a diabeł nie mógł się zdecydować na żaden głaz. W końcu wybrał ten, leżący w lipuskich lasach.

Do odpustu pozostał już tylko jeden dzień. Należało więc od razu przystąpić do działania, bo zbliżała się już północ. A zadanie wcale nie było łatwe, nawet dla diabła, bo głaz był wyjątkowo wielki i ciężki. Czart obwiązał go łańcuchami i uniósł. Leciąco mu się naprawdę ciężko i musiał często odpoczywać. Letnie noce są bardzo krótkie, szybko więc nadszedł świt, a bies był dopiero koło Owśnic, niedaleko Kościerzyny. Gdy przelatywał nad wsią, usłyszał pianie koguta. Nie było rady, musiał przerwać pracę. Rzucił kamień na pole i zaczął rozglądać się za jakąś kryjówką. Musiał się spieszyć, ponieważ zza wierzchołków drzew zaczęło już wschodzić słońce. Niestety

wkoło nie widział nic odpowiedniego dla siebie. Wywiercił więc dziurę w kamieniu i do niej wskoczył. Tam chciał przeczekać dzień, żeby nocą ruszyć dalej do Gdańska.

Tymczasem nadjechał chłop. Ujrzał głaz i stanął zdziwiony. Kamienia tu nigdy nie było, a teraz blokował wjazd na pole.

- Cóż począć? Sam nic tu nie poradzę – powiedział do siebie i poszedł po innych gburów.

Razem próbowali ruszyć głaz, a gdy to się nie udało, starali się go rozłupać. Jednak wszystkie ich wysiłki spełzły na niczym. Głaz ani drgnął. Jakby jakaś tajemna siła trzymała go w miejscu. Pęknąć też nie chciał. Nie pojawiła się na nim ani jedna rysa, choć chłopci walili weń z całych sił. Nie pomagały wysiłki kamieniarzy. Głaz trwał niewzruszony, wspomagany diabelską mocą.

W końcu zrezygnowany gospodarz rzekł:

- Skoro tak, to niech tu stoi. Może się na coś przyda.

- Ustawmy na nim krzyż – zaproponował sołtys i wszyscy chętnie się zgodzili.

Poszli zaraz do kowala, a ten miał akurat krucyfiks przygotowany do przydrożnej kapliczki. Wysłuchawszy opowieści o dziwnym kamieniu, przystał na propozycję chłopów. Uradowani wrócili na pole.

-Tam u góry jest otwór w sam raz dla krzyża- rzekł sołtys.

I rzeczywiście, krzyż ciasno wszedł w dziurę. Trzymał się mocno i prosto. Tak stoi po dziś dzień.

Diabeł zaś usunął się przed nim w sam koniec dziury i, jak dotąd, nikt go stamtąd jeszcze nie wypuścił.

6. O TRZECH ZJAWACH (STRACH, TRUD, NIEWARTO)

Remus stał nad zielononiebieską wodą. Po drugiej stronie wznosił się biały zamek. Ten sam piękny widok odbijał się w rzece, po której teraz płynęły dwa łabędzie. Spoglądały na pastucha dziwnymi, jakby nie z tego świata, oczami. On zaś widział w nich pytanie i zarazem odpowiedź, której nie chciał zrozumieć.

Potem usłyszał smutny głos:

- Weź mnie w ramiona i przenieś przez rzekę do mego zamku.

W tej samej chwili ujrzał dziewczynę wspaniałej urody, odzianą w precudną suknię. W jej włosach lśniła korona.

- Znam cię, pasterzu, i wiem wszystko o tobie. Nie bój się, tylko weź mnie w ramiona i przenieś przez rzekę do zamku.

Remus spojrzał na wodę. Nachylił się i ujrzał w niej swoje odbicie. Przy tej wielkiej pani wyglądał mizernie. Bosa, postrzępione nogawki, rozpięta kamizelka i porwana koszula. Pod dziurawym kapeluszem kłaki włosów. Przygarbiony, brudny i wylękniony.

Pani także podeszła ku rzece i poczuł się, jakby raził go piorun. Wzrok spuścił jeszcze niżej. Był taki biedny, mały i bezradny.

Królewianka dostrzegła zażenowanie sieroty. Położyła mu rękę na głowie i rzekła:

- Weź mnie w ramiona i przenieś przez wodę. Zamek wyrasta spod ziemi co sto lat i czeka na swego zbawcę. Zanieś mnie do zamku mych ojców. Jeśli to zrobisz, zostaniesz księciem. Jutro już będzie za późno. Minie sto lat, nim znowu ukaże się na ziemi. Nie przejmuj się swą nędzą, raczej patrz w serce; przecież ono pragnie rzeczy wielkich.

Ale Remus wątpił.

- Kiedy wejdę w jego progi – mówiła – wokół wyrosną wreszcie chaty szczęśliwych ludzi, którzy tak długo już czekają. Wtedy ten lud powstanie na nowo, uwierzy w swą siłę i godność. A inni zrozumieją, że jest to pradawny naród, który niegdyś sływał z wielkości i siły, lecz później prawie zaginął, że teraz się wreszcie odradza i znowu rosą jego siły. Bądź mężny i uwierz w swą moc, Remusie.

Wtedy stało się coś dziwnego. Pastuch zapomniał, że jest zwykłym parobkiem. Wstąpił w niego nowy duch i odważnie popatrzył na drogę, którą miał przebyć.

Ujrzał tam trzy zjawy. Pani mocno chwyciła go za rękę :

- Nie bój się ich, Remusie, pierwsza - to Trud. Będzie cię chciała zniechęcić, znużyć i ściągnąć na dno rzeki. Druga nazywa się Strach. Siał będzie w tobie zwątpienie i niewiarę. Ale ty nie będziesz się bał, bo wierzysz już w swe przeznaczenie. Najgorsza jest trzecia. Jej imię Niewarto. Będzie ośmieszać wszystko, w co wierzysz i co robisz, by wydało ci się nieważne.

Remus wcale się już nie bał. Poczul, że ma dość sił, by przenieść królewiankę. Uniósł ją i wszedł do wody. Lecz wtedy znów ujrzał swoje odbicie i ... zwątpił.

- Jakie to śmieszne i głupie - pomyślał.- Ja mam kogoś ratować? Jakiś lud? Ja? Sierota, który nie pamięta nawet ojca i matki?

Upuścił królewiankę. I wtedy zamek z trzaskiem zapadł się w ziemię. Niema księżniczka rozplýwała się w nicość.

Trzecia zjawia szeptala przenikliwym głosem:

- Nie warto..., nie warto..., nie warto...

Wszystko to, dzialo się równo sto lat temu.

7. O WIEŻYCY

Kasztelan goręczyński często konno objeżdżał swoje dobra. Nie była to łatwa droga ani dla wierzchowca, ani dla jeźdźca. Natrafiali wiele strumieni, rowów, kilkakrotnie przebywali w bród Radunię. Musieli objeżdżać wiele jezior, także duże Jeziora Raduńskie. Kiedy indziej znowu brnęli przed lasy, wspinali się na wzniesienia lub spuszczaali się w dół. Ale nie było wyboru, oko pańskie konia tuczy, trzeba było doglądać chłopów i rzemieślników przy robocie.

Choć Zbigniew bardzo się starał, widział, że w jego dobrach nie zawsze dzieje się jak należy. Nie zdołał dotrzeć wszędzie na czas, nie mógł przecież być w każdym miejscu o każdej porze. Często w drodze zastanawiał się, jak rozwiązać ten kłopot, ale nie zdołał nic mądrego wydumać.

Kasztelan był człowiekiem bardzo srogim. Wymagał wiele od innych i od siebie. Potrafił hojnie wynagrodzić dobrą robotę, umiał też surowo ukarać niedbalstwo. Ludzie raczej się go bali. Rozpowiadano sobie historie o okrutnych karach, które wymierzał leniwym i gnuśnym sługom. Dlatego, kiedy tylko posłyszano gdzieś wołanie: „Kasztelan jedzie!!!”, od razu robota szła rychlej.

Dużo mniej przepowiadano o nagrodach, które spotkały ludzi z rąk kasztelana, a przecież potrafił być hojny.

Kiedyś, gdy zauważył, jak jeden z biedniejszych ostrzyckich chłopów zaprowadził prosiaka do sąsiada, któremu padła jedyna maciora, choć sam został tylko z jednym, tak przejął się dobrocią wieśniaka, że zwolnił go z danin na dziesięć lat.

Kiedy indziej niezauważony na skraju lasu obserwował, jak wszyscy chłopci z Somonina wraz z całymi rodzinami, nieprzymuszeni pędem ruszyli zwozić siano z kasztelańskich dóbr, bo miało się na deszcz. Wzruszony tym postępkim podarował im siano, które zwieźli.

Takich ludzkich odruchów serca było u niego wiele.

Ale kiedy drwale z Leszna zamiast pójść na porębę popili się wszyscy na poprawinach u sołtysa, kasztelan tak się rozeźlił, że nie wziął ich do lasu przez calutki rok, a w ich miejsce sprowadził wyrobników aż spod Mirachowa. Straszna bieda panowała tego roku w Lesznie.

Wieczorami kasztelan siadywał przy piecu i studiował gospodarskie księgi. Kasztelania przynosiła duże profity, ale Zbigniew pragnąłby je jeszcze pomnożyć.

Pewnej nocy spał bardzo niespokojnie. Roili mu się dziwne rzeczy. Wrzeszczał przez sen, co rusz się budził i rano sam nie wiedział, co było marą, a co jawą. Nocne wydarzenia miał wyraźnie w pamięci, ale brał je za, co prawda bardzo wyrazisty, ale zawsze sen. Myślał, że to jeden z takich wyjątkowych snów, które się długo pamięta i które do złudzenia przypominają realność, a czasem wryją się w pamięć silniej, niż niejedno prawdziwe zdarzenie. Pamiętał, że tej nocy usilnie starał się znaleźć jakąś metodę, żeby mieć większą pieczę nad powierzonymi mu dobrami. Dumał o tym cały dzień i nic to osobliwego, że te myśli przeniknęły do snu. Pamięta, że gotów był w tej kwestii pertraktować z samym diablem. Widzi go jak żywego, pomni każdy szczegół jego wyglądu, zadziwił się nawet elegancją ubioru i mowy. Z początku nie wierzył, że to purtk. Ale siła i powaga, jakie były z jego oblicza i strach, który roztaczał wokół siebie, szybko kasztelana przekonały. Czart chciał Zbigniewowi pomóc. Obiecał dostarczyć sposób doglądania całych dóbr o każdej porze dnia bez potrzeby ruszania się z miejsca. Uradowany kasztelan najpierw chciał przystać na propozycję, potem odezwał się w nim głos rozsądku i nakazał ostrożność. Wreszcie do Zbigniewa dotarło, że to wszystko sen i odprężony zawarł dla rozrywki pakt z diablem.

Rankiem pomimo pewnych wątpliwości dalej był zdania, że wszystko to mu się roilo. Jakież było jego zdziwienie, gdy około południa doniesiono mu, że na wzgórzu za Jeziorem Raduńskim pracują drwale i cieśle. Nikomu przecież nie zlecał tam żadnej roboty. Niezwłocznie ruszył w kierunku Ostrzyc, potem zapuścił się w gęsty bór za jeziorem. Gdy był u podnóża góry, słyszał już wyraźnie uderzenia toporów i trzask upadających drzew. A na szczycie ujrzał zręby dziwnej budowli. Przyglądał się jej chwilę i domyślił się, że ktoś buduje tu wieżę. Z różnych stron ściągano dopiero co powalone dorodne chojny i daglezie.

- Stójcie! – wrzasnął – Kto nakazał wam tę robotę?

Robotnicy przerwali pracę. Kasztelan groźnie im się przyglądał. Nie znał tych ludzi, choć chętnie przyjąłby takich do służby. Chłopy na schwał, wysokie, barczyste, w krzepkich dłoniach dzierzący

ciężkie topory, siekiery i młoty. Spod gęstych, ciemnych czupryn spoglądały dziarsko czarne, niezłomne oczy.

- Ja ich nająłem – odezwał się z tyłu dziwnie Zbigniewowi znajomy głos. W tym momencie zza pleców drwali wysunęła się postać ze snu, Czart. Kasztelan zaniemógł, włosy zjeżyły mu się na całym ciele.

- Jak to, ty? Ty jesteś tylko snem. Ciebie w istocie nie było!

- Czy teraz śpisz, kasztelanie? To nie były rojenia. Zawarliśmy pakt. Ja słowa dochowuję. Patrz! – i w tej chwili obydwaj unieśli się w powietrze, by stanąć na czubku nieukończonych budowli.

- Spójrz tylko! A to nawet nie połowa wieży – powiedział dumny czart.

Rzeczywiście, było na co popatrzeć. Kasztelan stał zdumiony i zachwycony.

- No, na razie dosyć, poczekaj do jutra. Zapraszam w południe, wieża będzie gotowa – powiedział purtk i znikł, a kasztelan w tym momencie znalazł się z powrotem na ziemi, obok swojego wierzchowca. Mieszały się w nim strach i podziw, radość i przerażenie. Ciągle miał przed oczyma widok z wieży. Dręczyły go też coraz silniejsze wyrzuty sumienia, że zadaje się z diabłem. Powoli ruszył z powrotem do Goręczyna, a na szczycie robota szła dalej.

To była dla kasztelana najcięższa noc w życiu. Nie mógł doczekać się brzasku. Targały nim upiorne skrupuły. Najgorsze było to, że i tak nic nie mógł zrobić.

Rankiem skoro świt ruszył w stronę wieży. Była widoczna z daleka, wysoka, smukła, stabilna. Wśród chłopów budziła grozę. Ludzie mijani na polach i w wioskach pokazywali ją sobie z przestachem. Kasztelan z nikim nie zamienił słowa. Jechał prosto do celu. Był na szczycie grubo przed południem.

- Przybyłeś za wcześnie, mości kasztelanie. Budowla jeszcze nie gotowa – przywitał go diabeł.

- Poczekam. Godna podziwu jest biegłość twych sług! – odparł z niekłamanym zachwytem.

- Już kończymy, szykujemy ci jeszcze izbę na górze.

Po dwóch godzinach oczekiwania kasztelan prowadzony przez czarta wspinał się mozolnie po stopniach wieży. Ledwo weszli wyżej czubów drzew, a podziw ogarnął Zbigniewa i rósł z każdym stąpieniem. Wreszcie znaleźli się na szczycie. Wiatr rozwiewał włosy i z lekka zapierał dech w piersiach. Przed skwarem słonecznym chroniło ich zadaszenie wieży. Kasztelan mógł obserwować okolicę z tarasu lub z izdebki umieszczonej na jego środku.

- No, z mojej strony to wszystko – powiedział purtk i zabierał się do odejścia. – Aha, tu masz jeszcze przydatne urządzenia, zechciej łaskawie zerknąć w to miejsce... – pokazał dłonią na małe szkiełko umieszczone w długiej rurze. Kiedy Zbigniew, nie bez obaw, przyłożył do niego oko, zamarł ze przestachu. Oto gród goręczyński widoczny przed chwilą w oddali jako nieduży klocek teraz przybliżył się na wyciągnięcie ręki.

- Co to za czary! – kasztelan odskoczył przerażony.

- Tym razem to nie czary, tylko geniusz ludzki. Tak, nie dziwuj się, to ludzie wymyślili takie cuda dawno temu w odległych krajach. Nie bój się, dzięki temu będziesz widział całe swe dobra jak na dłoni. Nikt i nic się przed tobą nie ukryje. W izdebce masz duży kajet, tam możesz zapisywać wszystkie uchybienia twych poddanych, a potem, na przykład raz w miesiącu, wymierzać wszystkim należne im kary. No, miłego podglądania – powiedział purtk i znikł.

Teraz kasztelan został sam. Z początku nieśmiało, potem coraz odważniej zaczął rozglądać się po okolicy. Rzeczywiście, było tak, jak mówił czart; widział całą kasztelanię. Z wieży wysokością kilkakrotnie przewyższającą rosnące na szczycie dąglezje mógł podziwiać całe kółko Jezior Raduńskich, ba, wzrok jego sięgał nawet do Jeziora Mezowskiego, Karlikowskiego i Sitna. Jak na dłoni miał pod sobą lasy wokół szczytu, a także bory leżące hen na skraju kasztelanii, za Somoninem, za Smętowem i nawet wielkie lasy mirachowskie. Widział wszystkie wioski: Ostrzyce, Somonino, Sławki, Goręczyno, Leszno, Kiełpino, Mezowo, Dzierżążno, Borcz, Rąty, Karlikowo, Borowo. Podziwiał jak wije się Radunia i ginie w lasach żukowskich norbertanek.

-Nie do wiary! – krzyczał zachwycony – to nie do wiary!!!

Tego dnia kasztelan nie zszedł z wieży, noc spędził w izbie na szczycie. Rankiem zjawili się jego słudzy zaniepokojeni nieobecnością pana. Uspokoił ich, że nic mu nie jest, wydał konieczne rozkazy i zapowiedział, że nie będzie go w grodzie kilka dni. Popołudniu dostarczono mu wszystko, czego potrzebował i kasztelan oddał się obserwacji swoich dóbr.

Z początku skrzętnie notował każde wykroczenie swoich poddanych, a czart zacierał ręce z radości. Liczył, że dzięki wieży dokona wiele zła w goręczyńskiej kasztelanii. Ale Zbigniew coraz częściej zamiast szpiegować poddanych rozkoszował się widokiem okolicy. Gdy przemierzał ją konno, często złościła go ta rozmaitość terenu. Teraz zaczęły się w nim budzić inne strefy duszy,

powoli otwierał się na piękno tej ziemi. Potrafił godzinami obserwować migotanie fal na jeziorach. Długo nie mógł oderwać wzroku od zieleni lasów. Przez lunetę widział żyjące w nich zwierzęta. Podziwiał zmieniające się kolory pól. Jego wzrok jak okręt po falach płynął po wzniesieniach i dolinach niw. Po kilku tygodniach znowu wrócił do przyglądania się chłopom i rybakom. Ale teraz nie śledził już ich występków. Dostrzegał za to, że potrafią cieszyć się każdym drobiazgiem. Widział, ile trudu kosztuje ich praca, zaprawianie ziemi, jej doglądanie, zbieranie płodów, robota w lesie, łowienie ryb. Widział, że co niemiara tragedii spotyka ich w życiu. Zrobiło mu się ich żal. Teraz nie dziwił się już tak bardzo, że nie mieli sił pracować od rana do wieczora, kiedy w ich chacie brakowało jada. Nie złościł się nawet, gdy jakiś chłop ukradkiem w kieszeni poniósł do chaty garść dworskiego ziarna po młócce. Cieszył razem z gromadą dzieci, kiedy ich ojciec wyjął z za pazuchy złapanego w sidła w pańskim lesie zająca.

Patrząc tak na nich z góry, niczym Pan Bóg, stał się jak On miłosierny dla swego ludu. Jego występki, grzechy, upadki już go nie złościły, lecz budziły współczucie i lzy. Z góry wszystko widać lepiej i wszystko wydaje się inne.

Kiedy kasztelan opuszczał wieżę, nie jechał karać swych włości. Odwiedzał tych najbardziej potrzebujących i dyskretnie ich obdarowywał. Przestało mu zależeć na wysokich dochodach kasztelanii. Dążył raczej do tego, by jego lud żył szczęśliwie. I stało się coś dziwnego, bo chłopci szybko dostrzegli przemianę, jaka zaszła u kasztelana. Jego dobroć zaś mobilizowała ich do uczciwszej pracy, bo chcieli mu się jakoś odwdziżyć. Coraz mniej było na wsiach biedy i chorób, a dzięki temu poprawiła się jakość pracy. Wieży szybko przestano się bać. W niedzielę i święta kasztelan pozwalał kmieciom wchodzić do góry i podziwiać kaszubską ziemię.

Diabeł klął ze złości, widząc co się dzieje, ale był bezradny. Mógł tylko cierpliwie czekać. Ale w końcu się doczekał, albowiem lata mijały i kasztelan się postarzał. Wybiła wreszcie jego godzina.

- No widzisz, kasztelanie, spodobał ci się mój prezent – powiedział purtk wchodząc do izby ciężko chorego Zbigniewa.

- A, to ty. Czekałem na ciebie – z niemałym trudem odpowiedział kasztelan.

- Nie zapomniałeś o mnie?

- Trudno o tobie zapomnieć.

- Ja słowa dotrzymałem, teraz twoja kolej. Do rana już pewnie będzie po wszystkim. Napsułeś mi wiele krwi. Nie spodziewałem się tego po tobie, raczej liczyłem na coś przeciwnego, ale cóż, przeliczyłem się, to już trudno. Było, minęło. Teraz to sobie trochę odbijemy. Do jutra, żegnam – uklonił się czart i znikł.

Nad ranem kasztelan spokojnie oczekiwał na przybycie purtka. Wreszcie zjawił się straszny gość.

- Na nas już czas, mości kasztelanie – rzekł czart na wstępie.

- Czarny książę, czy nie mógłbym przed śmiercią jeszcze raz spojrzeć z wieży na swoje dobra? Wszak ustaliliśmy, iż będę mógł do końca moich dni kontrolować całe dobra o każdej porze dnia bez konieczności ruszania się z miejsca.

- Zgoda, zabiorę cię tam ostatni raz – odparł zniecierpliwiony szatan.

Ale kiedy przybyli na miejsce, czart zbieleł z przerażenia - wieży nie było:

- Co to ma znaczyć!!! – wrzasnął na cały głos. – Gdzie jest wieża?

Biegał jak szalony po całym wzgórzu, przewracał drzewa, wrywał je z korzeniami, wył z przerażenia, a od jego krzyku przewracały się największe sosny. Te wrzaski słyhać było w całej okolicy. Widziano też błyski, pioruny i płomienie. W takich okolicznościach ducha oddawał dobry goręczyński kasztelan, ale nie bał się wcale tylko śmiał głośno, bo udało mu się przechytryć diabła. Od dawna bowiem zastanawiał się, jak wyjść obronną ręką z diabelskich sidła. W końcu ustalił z chłopami, że w nocy zniszczą wieżę. Niechętnie się na to godzili, ale skoro nie było innej rady...

Słońce powoli wznosiło się ponad widnokrąg i szatan uciekał do swego piekła. Ciało kasztelana ze czcią pochowano na goręczyńskim cmentarzu. Chociaż wieży przez długie lata nikt nie ważył się odbudować, a nawet osiedlać się nikt nie chciał w pobliżu, zaś okolica była przez długie lata odludna, do najwyższego na europejskich nizinach wzgórza na zawsze przylgła nazwa Wieżyca.

8. O KRASNOLUDKACH

Dzisiaj trudno je spotkać, ale czy to jest dowód na to, że nie istnieją? Tak sądzą tylko naiwni. Niemniej kiedyś krośnięta często mieszkała razem z ludźmi, a to się już dzisiaj chyba nie zdarza.

Te małe stworki miały bardzo różne charaktery. Gdy chciały, potrafiły wiele pomóc. Przydatne były w domach i na gospodarstwie, pomagały rzemieślnikom, rybakom, kupcom, właściwie wszystkim, pod warunkiem, że byli to dobrzy ludzie. Umiały robić wiele rzeczy, a najbardziej przydatne były w pracach wymagających dokładności. Z powodu dużej liczebności mogły stanowić nieocenioną pomoc. Musiały też gdzieś mieć, jak powiadają starzy ludzie, swe podziemne królestwo, w którym przechowywały niezliczone skarby, bo nieraz się zdarzyło, że wspomogły biednych swym bogactwem.

Krasnoludki umiały też być złośliwe. Często gęsto napsociły i narobiły wiele ambarasu. Ale to zdarzało się tylko złym ludziom. Najbardziej bano się wykradania albo podmieniania niemowląt.

Bardzo dawno temu, kiedy to Kaszuby były słabo zaludnione, na miejscu dzisiejszych Sierakowic stało kilka chat. Ich mieszkańcy z niemałym trudem karczowali okoliczne lasy i zakładali pola. Jeden z nich miał żonę z Chmielna. Zanim wyszła za męża, zdarzyło jej się uratować jedno krośnię. W dowód wdzięczności mały ludzik obiecał, że wraz ze swym rodzeństwem będzie jej służyć do końca życia. Gdy przeprowadziła się do męża, ród krasnoludków powędrował za nią. W ten sposób krasnoludki trafiły na ziemię sierakowicką.

Od tej pory gospodarzowi zaczęło się znacznie lepiej powodzić. Krośnięta nie próżnowała. W dzień czyściła pola z korzeni i pni. W nocy reperowała sprzęt, budynki, czyściła ziarno, młóciła i kręciła żarna. Dbała też o gospodarskie zwierzęta oraz pomagała gospodyni w kuchni. Przędła wełnę, szyła ubrania, wymyślała ozdoby. Dzięki temu plony były coraz wyższe, zwierzęta wyjątkowo wypielęgnowane, dzieci zdrowe i dobrze odchowane, a budynki lśniły czystością i bogactwem. Gospodarze wyglądali niczym para kasztelańska. I tak było przez wiele lat. Gospodyni nadal troszczyła się o krośnięta, była im bardzo wdzięczna i miła dla nich. Ale gospodarz nie był dobrym człowiekiem. Stawiał wciąż większe wymagania, ciągle mu było mało, im więcej miał, tym więcej chciał. Widać bogactwo nie działało na niego dobrze. Krasnale wiele od niego wycierpiały, ale nic nie mogły poradzić, dotrzymywały obietnicy danej jego żonie. Tymczasem gospodarzowi wydawało się, że krośnięta są mu niepotrzebne, wszystko, co miał, przypisywał sobie. Nieraz kłął i wyzywał te małe stworki, które, jak mówił, płaczą mu się niepotrzebnie po chałupie. Krasnoludki musiały bardzo uważać, by ich z rozmysłem nie rozdeptał albo nie trafił butem czy korką.

Nadszedł w końcu ten smutny dzień, w którym kobieta odeszła z tego świata. Krośnięta do dziś twierdzą, że jej serce pękło z żalu. Dłużej już nie mogła znieść niegodziwego postępowania męża. Kiedy ją pochowano, wdowiec wrócił do domu bardzo zły. Widok krasnoludków jeszcze bardziej go rozsierdził.

- A wy tu czego, przebrzydłe mikrusy? Wynocha mi z chałupy – zaczął wykrzykiwać. – Precz z mojego domu, karły brodate! Jazda mi stąd! – biegał po wszystkich pokojach i, gdy tylko zauważył jakieś krośnię, rzucał w nie czym popadło.

- Pasożyty wstrętne! Ja wam pokażę! Koniec obżarstwa! Dłużej nie będziecie na moim garnuszku! Koniec wygód! Wasza dobrodziejka już tu nie wróci, a ja mam was serdecznie dość! No już! Wyłazić z kątów i szorować mi stąd, bo jak nie, to wybiję wszystkich jak muchy! I żeby was tu więcej nie widział! Zgniotę jak robactwo! Wytlukę co do jednego! Żeby wasza skarłała noga więcej tu nie powstała – tymi groźbami i krzykami zmusił ród krasnali do opuszczenia gospodarstwa.

Gdy już wszystkie krośnięta były gotowe, ruszyły rzędem w drogę powrotną, na swą ojcowiznę do Chmielna. Po drodze mijały dom biednego gburą Sieraka.

- A dokąd to wycieczka się wybiera? – zagadnął chłop, który siedział na ławie przed domem.

- Wracamy do Chmielna - odpowiedziały smutne krośnięta.

- A ładnie to teraz opuszczać samotnego wdowca?

- Nieładnie, ale ten stary przyk zwyczajnie nas wypędził.

- Ooo, to ci dopiero historia! Wypędził was? – nie dowierzał Sierak.

- Tak się nam odwdzięcza za tyle lat wiernej służby. To się nazywa wdzięczność – skarżyły się krasnoludki. – Gdyby nie pamięć na jego dobrą małżonkę, to byśmy mu pokazali, gdzie raki zimują.

- Macie trochę tych tobołków, ciężko wam będzie tak iść aż do Chmielna – zatroskał się Sierak. – Poczekajcie no, a może by was podwieźć? Co wy na to? Podwożę was, a o zapłatę się nie martwcie. Niech to będzie dowód wdzięczności dla waszej zmarłej pani, nieboszczka tyle razy mi pomagała, że nigdy jej się za to nie odpłacę.

- Czemu nie? – zgodziły się krośnięta.

Sierak poszedł zaprzęgać wóz, a małe ludki zaczęły nad czymś debatować. Gdy zajechała furmanka, najstarszy z rodziny przemówił w te słowa:

- Drogi Sieraku, poczekaj jeszcze chwilkę. Siądźmy no na ławie i pogadajmy.

- Nie ma o czym gadać, podwożę was i po sprawie – zbagatelizował propozycję Sierak. Ale krośnięta nie ustąpiły, zresztą trzy najstarsze już czekały na ławie. Gdy gospodarz przysiadł się do nich, najstarszy znowu przemówił:

- A może moglibyśmy zamieszkać u ciebie?

Na te słowa Sierak zaniemówił. Nigdy mu coś takiego do głowy nie przyszło.

- No co tak milczysz? – spytał drugi krasnal.

- Nie chcesz nas – ze smutkiem stwierdził trzeci.

- Chłopaki, szykować się do wymarszu, ogłaszam ewakuację, w tej wiosce po prostu nas nie chcą.

- Zaraz, zaraz, czekajcie, przecież nic jeszcze nie powiedziałem – odezwał się w końcu Sierak. – Dajcież mi trochę pomyśleć.

Krasnoludy znowu odłożyły swoje tobołki, a Sierak głęboko się zamyślił. Po długiej chwili znowu przemówił:

- Nie, żebym was nie lubił, ale ...

- Ale co? – przerwała krośnięta.

- Mogę mówić?

- No gadajże, przecież widzisz, że czekamy, jak będziesz tyle myślał, to nie zajdziemy do Chmielna przed zimą.

- No to mi nie przerywajcie. Nie to, żebym was nie lubił, ale... - Sierak chwilę odczekał, ale tym razem żaden z krasnoludków się nie odezwał. - ...ale lubię sam zapracować na to, co posiadam.

- No masz! – zawołał najstarszy krasnolud. – a to ci Zosia samosia.

- Nie zrozumcie mnie źle. Taki już jestem. Po mojemu, jak człowiek dostaje więcej, niż mu się należy, to to jest dla niego bardzo groźne. Tak myślę i już. Wybaczcie, jeśli was uraziłem...

- Nie ma za co. Może i masz rację. W tym coś jest. Widzisz, wcale nie jesteś taki głupi. Ale czy z tego powodu my musimy tułać się po świecie?

- A widzisz jakieś inne wyjście? – zapytał zatroskany Sierak.

- Jeszcze nie, ale mam pewien plan. Ciężko mi się myśli o pustym żołądku i suchym pysku...

-Najmocniej błagam o wybaczenie, zaraz coś przygotuję, chwileczkę – zorientował się Sierak i zniknął w drzwiach chałupy. Krośnięta słyszały, jak prosił białkę, by przygotowała podwieczorek. Po kilku chwilach cała zgraja siedziała przy zastawionym stole.

- Umówmy się tak, przyjmij nas do jutra rana pod swój dach, może coś wymyślimy, bo bardzo nam się u ciebie podoba. A jeśli nic nie wydumamy, to rano ruszamy w drogę. Dziś i tak jest już późno. Co ty na to?

- Skoro taka wasza wola, to ja nie mam nic przeciwko. Gościnnie święte prawo, byleście tylko dotrzymali słowa, rano...

- No wiesz? – oburzył się najstarszy krasnal.

- W takim razie idę wypręgać furmankę, a wy tu się czujcie jak u siebie w domu, ale tylko do jutra!

Po sutym posiłku krasnoludki nie miały ochoty na myślenie. Noc przespały twardym snem. Była to pierwsza spokojna noc od śmierci ich pani. Rankiem musiał je budzić Sierak.

- Wstawać śpiochy, co z wami, pomarliście wszyscy, czy co? Gadać, co wymyśliliście, a jak nie, to idę zaprzęgać woły.

Krasnoludki, rzecz jasna, nic nie wydumały, bo nie miały czasu na zastanowienie. Przy pożegnaniu najstarszy grzecznie zapytał:

- Jak mamy ci się odwdzięczyć za bogatą gościnę?

- W porządku, już wam tłumaczyłem, że to dla nieboszczki...

- Wiem, mam pomysł! – zawołał nagle najstarszy.

- Co znowu, jaki pomysł? – wystraszył się Sierak.
- Jeżeli nas przyjmiesz do swego domu, to będziemy odpracowywać tylko to, co od ciebie dostaniemy – zaproponował krasnal.
- I nic więcej? – upewniał się Sierak.
- Nic.
- Bez kantów?
- Bez.
- Tylko tyle, na ile zasłużę i ani odrobiny więcej – upewniał się Sierak.
- Zgoda? – pytały uradowane krasnale.
- Zgoda – potwierdził Sierak.

Krośnięta towarzyszyły Sierakowi do ostatnich chwil jego życia, potem służyły jego dzieciom, wnukom, prawnukom, prapra.... Zawsze obowiązywała je ta sama zasada: tylko tyle, na ile gospodarz zasługuje. Dzięki temu Sierak i jego następcy uniknęli losu starego wdowca, który po wypędzeniu krasnoludków szybko popadł w ruinę i nędznie skończył. A krasnoludki były świadkami rozkwitu gospodarstwa Sieraka. W końcu całą wioskę zaczęto nazywać Sierakowicami, od imienia Sieraka.

W Sierakowicach krośnięta są jeszcze do dzisiaj, bo wieś ta ciągle się rozwija, licznie rodzą się śliczne i zdrowe dzieci, gospodarka kwitnie. Żeby tylko mieszkańcy trzymali się starej zasady: tylko tyle, na ile zasłużę.

9. O CZAROWNICACH

TEKST1

- Wsiadaj, masz tu swoją miotłę i lećmy już – poganiałam Duchawę. – Do Staniszewa kawał drogi, a północ już blisko.
- Zdamy, zawsze się niecierpliwisz, a potem i tak czekamy na innych. Gdzie się czarownica spieszy, tam się anioł cieszy. Jeszcze chwilę posiedźmy, jestem taka zmęczona – Duchawa jak zwykle próbowała postawić na swoim. Była nieznośna, ale i tak ją lubiłam najbardziej.
- Znowu zajmiemy miejsce od strony Sianowa. Nie pamiętasz, że dzisiaj palą tam ten szkaradny sobótkowy ogień? Od jego blasku zniedołężniejemy do reszty. Taka noc, a my nie będziemy miały sił, żeby się odpowiednio zabawić.
- Pamiętam, pamiętam. Dobrze pamiętam. Palą, bo chcą się nas pozbyć. O, nie przyjdzie im to tak łatwo. Łysa Góra od zawsze należała do nas i będzie nasza do końca świata. Teraz możemy już lecieć. Prowadź.

Miała rację. Ludzie na wszelkie sposoby chcieli nas stąd przepędzić. Śmieszne to było. Lecąc w stronę Łysej Góry myślałam, czego to oni nie próbowali. Liście klonu, osika, drewniane kołki, gromnice... . Ani się z Duchawą spostrzegłyśmy, a przeleciałyśmy nad Strzeczem, szerokim łukiem omijając nowy kościół, potem minęłyśmy piec Starej Huty i śmignęłyśmy do doliny Dębnicy. Z daleka widać już było łunę nad Sianowem. Kiedy podleciałyśmy bliżej, ujrzałyśmy grupki ludzi ciągnących zza Łeby, ze Staniszewa. Trwożliwie oglądali się na prawo, za Cieszonko, na Łysą Górę, skąd dobiegały już dzikie pomruki sabatu.

- No widzisz, Ślepicho, już jesteśmy, a do północy jeszcze ze dwie godziny – wymądrzała się Duchawa.

- W sam raz, żeby nieco wypocząć i sobie trochę pogwarzyć. Smętek na pewno już się wygramolił ze swej nory, a razem z nim te jego Mory. Dowiemy się czegoś nowego – odcięłam się błyskawicznie.

Na miejscu zebrało się już mnogie towarzystwo. Jak to miło widzieć znajome twarze. Powitania zajęły nam jakieś pół godziny. W końcu mogłyśmy na chwilę przysiąść na skraju dorodnej buczyny i odpoczywać. Sielanka nie trwała jednak długo, niebawem podeszło do nas kilka Mor i zaczęły się przechwalać:

- Tylko w ciągu ostatniego tygodnia zamorzyłam dwa konie i dziesięć prosiaków.
- Nie ma się czym chwalić, dziesięć, a nawet jedenaście prosiaków zamorzyłam nie dalej jak wczoraj, a do tego starego Gusta z Będargowa.
- Starego to nie sztuka. W zeszłą sobotę zamorzyłam Ankę ze Staniszewa. Nie było łatwo, ponad rok próbowałam, morzyłam każdej nocy, aż wreszcie się udało. Pięcioro dzieciak zostawiła. Teraz się biorę za jej chłopca.

I tak jedna przez drugą, bezwstydnie samochwały, wyliczały swoje zasługi. Ledwo sobie poszły, a ujrzałam, jak w naszą stronę idą trzy wiedźmy z Chmielna. Te dla odmiany bez ustanku narzekały, najwięcej na kościół i nową wiarę.

- Długo tam nie wytrzymamy. Co za pech! Tyle wieków spokoju, aż takie nieszczęście, pchają się tu klechy, anioły i Ten Największy Wróg Diabła, i Ta Jego Matka.
- A ludzie im wierzą, modlą się do nich, wysługują się. Co mamy czynić?
- Pewnie nam przyjdzie szukać innego miejsca...

Gdy tak zrządziły, dał się słyszeć donośny głos Smętka, wzywający wszystkich na szczyt góry.

W tym momencie Ślepicha przerwała swoje opowiadanie:

- Wiesz, córuchno, słabo mi tak jakoś... Jak sobie wspomnę, co się potem stało...

- Na dziś wystarczy, mateńko. Jesteś już znużona, wypocznij teraz. Jutro opowiesz mi resztę – to powiedziawszy młoda czarownica, córka Ślepichy okryła zniszczoną deką starą, po cichu wyszła z chaty, następnie usiadła przed progiem i zapatrzona w bagna oddała się rozmyśleniom. Stan jej matki pogarszał się z dnia na dzień. W chwilach lepszego samopoczucia opowiadała wkoło tę samą historię, niczym koszmarny sen. Ale to nie był sen. Kuterka dobrze o tym wiedziała. To była prawda, najgorsza prawda, jaka kiedykolwiek się zdarzyła w historii kaszubskich czarownic.

W nocy Ślepicha nagle się przebudziła i zaczęła wołać Kuterkę. Córka szybko znalazła się przy niej. Wbrew jej prośbom i naleganiom by zasnęła i nie męczyła się w nocy, Ślepicha opowiadała po raz kolejny dalszy ciąg znanej wszystkim czarownicom historii:

- Smętek rozpoczynał obrządek. Najpierw dziękował za zamorzonych ludzi i zwierzęta, za oślepionych, za pozbawionych słuchu, za chromych, za wszelkie choroby, za namówionych do zła, za pijaków, za zdrady małżeńskie, za bijatyki, morderstwa, kradzieże, kłamstwa, oszustwa, obmowę, za kłótnie i gniewy, za przekleństwa, bluźnierstwa i wszystko, wszystko inne, co nosiło jego znamię. Było tego, oj było siła. Ale jakby nieco mniej niż kiedyś.

Potem przyszedł czas na zabawę. Spod ziemi zaczęły dobiegać cudownie dzikie brzmienia. Zrzuciliśmy z siebie nasze łachy. Rozpoczęły się szalone płasy. Wszędzie wiły się nagie ciała, dziesiątki, setki, tysiące, w pojedynkę, parami lub w większych kręgach. Gdziekolwiek podawano trunki; kufle piwa, dzbany z winem i butelki gorzałki. Alkohol lał się strumieniami do rozwrzeszczanych gardeł. Pod drzewami wkrótce pojawiły się pierwsze pary lub większe grupy - zaczęły się orgie. Niektórzy woleli suto zastawione stoły. Jeszcze inni wdychali odurzające zioła. Każdy znalazł dla siebie coś przyjemnego. Trwał szalony zabawy, a tłum nagich ciał, młodych i starych, pięknych i brzydkich, grubych, chudych, gładkich i owłosionych gęstniał z minuty na minutę i poddawał się rytmowi podawanemu przez głuche dudnienie gdzieś w głębi ziemi.

Wtedy Smętek zaczął nas zachęcać, wszystkie swoje sługi, do większej gorliwości.

- Taka noc – mówił – jest nieczęsta, jest nasza. Najkrótsza noc w roku należy do nas! Chociaż jest najkrótsza, nastęrczy najwięcej niegodziwości. Dzisiaj, teraz, jak co roku, spotyka się zacość i podłość, dobro i zło, pożytek i szkoda, szlachetność i nikczemność. Toczy się między nimi walka i my ją wygramy! Ruszajcie! Do dzieła! Idźcie i czyńcie zło!!!

- Jak się wkrótce okazało, mylił się bardzo. O, jak bardzo. Już zaczęliśmy ruszać na cztery strony świata, gdy nagle stało się coś niezmiernego. Każdy to poczuł. Wszyscy zatrzymaliśmy się na chwilę. Wszyscy zamarliśmy, muzyka umilkła. To się stało w Sianowie. Nam nieprzychylna potęga dobra błyskawicznie się stamtąd rozprzestrzeniała. W okamgnieniu dotarła do nas, na Łysą Górę. To był najgorszy widok w moim życiu. Opanowała nas całkowita niemoc. Po chwili wahania postanowiliśmy stamtąd uciekać, każdy w swoją stronę. To było okropne. Najlepsze czarownice, Mory, diabły, wiedźmy, sam Smętek nawet, wszyscy jakby w obłądnie, przybierając dziwaczne pozy, z grymasem na twarzach, z powykrzywiani i poskręcani kończynami, powoli i niezdarnie człapaliśmy w różne strony świata.

Z ogromnym wysiłkiem dotarłam do Lewina. Duchawa wlokła się za mną. Potem było już lżej, im dalej od Sianowa, tym łatwiej. Potworne. Coś takiego. Coś takiego... . Biada... .

- Nie męcz się tyle, odpocznij sobie, zaśnijże, to niemądre tak się forsować – prosiła matkę Kuterka, ale stara dalej snuła swoją opowieść:

- Wreszcie oszołomione dotarliśmy na nasze bagna. Wtedy jeszcze nie rozumialiśmy, co to było. Dopiero kilka dni później dotarły do nas wieści o znalezieniu w Sianowie Figury. Przez kilka następnych lat Jej siła i moc wiary Kaszubów nie pozwalały nam na zbliżania się do Sianowa. Kilka, może kilkanaście. W końcu jednak wiara sianowian zaczęła słabnąć. He, he, he... . Wreszcie osłabła na tyle, że spotkaliśmy się znowu w Staniszewie. Ale nie byliśmy w stanie nic czynić, nic złego. I tak było co roku. W końcu jednak nadszedł upragniony dzień. Wspólnymi siłami podpaliśmy kościół w Sianowie. To było coś wspaniałego, niezapomniany widok, źródło naszych nieszczęść zamieniało się w popiół. Zachwyceni wróciliśmy świętować na Łysą Górę. Kościół jeszcze się palił, tańczyliśmy i spoglądaliśmy na dogasające płomienie. Jakże byliśmy głupi! Zamiast zostać i dopilnować wszystkiego do końca, daliśmy się ponieść fali radości. No i spotkała nas zasłużona kara; figura ocalała, a mieszkańcy Sianowa wystraszeni tym, co się stało, zapalali na nowo gorliwą, ślepią wiarą. I tak było prawie przez następne sto lat.

A teraz... teraz jestem za stara, nie mam już sił. Ale ty, ty... , leć.

- Polecę, polecę jutro, zaśnij już. Śpij, jest przecież noc.

- Dobrze, dobrze, już śpię. Tak, już śpię... . Żebym się tylko jeszcze obudziła...

Nazajutrz Ślepicha jeszcze się obudziła, ale dopiero wieczorem. Kuterki już nie było, poleciała do Staniszewa na sabat. Stara nie mogła w nocy zasnąć. Niecierpliwie czekała na powrót córki, złakniona wieści o zagładzie wsi. Wieści, które miały dodać jej sił.

W tym czasie na Łysej Górze mowę wygłaszał Smętk:

- Władza dobroci jest w Sianowie jeszcze zbyt wielka. Tymczasem zemścimy się na Staniszewie. Nie pozostawimy kamienia na kamieniu. Ruszajcie, za mną wszystkie potęgi łajdactwa, nadszedł czas upragnionej zemsty, oto wybiła nasza godzina! Oto nasza noc! Dokonajcie dzieła zniszczenia! Nie oszczędzajcie niczego!

I ruszyli. Armia czarownic i diabłów odlatywała na zachód. Jakby na jej życzenie zbliżała się burza, zerwał się wicher i zaczęły walić pioruny. W głębokich ciemnościach nocy, przecinanych złowrogim blaskiem błyskawic niebawem pojawiły się pierwsze płomienie. Sługi szatana uwijały się niczym mrówki. Nie ocalała żadna chata, żadna stodoła, nawet kawałek drewnianego płotu. Spłonęło wszystko. Zginęły zwierzęta. Co zdążyło uciec z pożogi, wpadło w ręce Mor i już się z nich nie wydostało. Staniszewo zostało doszczętnie zniszczone.

Gdy Kuterka opowiedziała o tym wszystkim matce, ta z radości nie mogła uleżeć na swym łożu. Dobry humor nie opuszczał jej przez kilka następnych dni, ostatnich dni jej wiedźmińskiego życia. Ostatniego z nich na bagna przyleciała stara Duchawa. Z jej oczu biło przerażenie:

- Słuchajcie! To potworne! – zaczęła zasapana.

- No mówże wreszcie, co się stało – niecierpliwiła się Ślepicha.

- Budują nowe Staniszewo!

- Co? Gdzie? – nie dowierzała Kuterka.

- Po drugiej stronie Łeby, niedaleko Sianowa, żeby mieli bliżej do Maryi i odbudowanego kościółka.

- Ach... dlaczego... – jęknęła Ślepicha i wyzionęła swego złego ducha.

- To nie koniec walki, jeszcze się rozprawimy z Tą figurą – wycodziła przez zęby Kuterka, a w jej oczach pojawiły się upiorne błyski.

TEKST 2

- Możesz wejść, twój brat się ocknął – powiedziała staruszka, lekko się uśmiechając. – Mówiłam, że będzie jeszcze długo żył.

- Skąd wiedziałaś? – zapytał towarzysz rannego.

- Nici. Miał na sobie nici – odpowiedziała kobieta.

- Jakie nici?

- O, bardzo długie. Rzadko zdarzają się takie nici. Długie nici – długie życie, krótkie nici – krótkie życie, prządka przędzie, kto odważny niech pochwyci. Miał bardzo długie. Takich jeszcze nie widziałam.

Bartosz podejrzliwie spoglądał na staruszkę. Nie bardzo rozumiał, o czym mówi, ale nie pytał więcej. Chciał jak najszybciej zobaczyć Przemka. Odwrócił się i wszedł do szałasu. Wewnątrz panował mrok. W powietrzu roznosił się silny aromat ziół. Bartosz nie znał wcześniej tego zapachu. Obok posłania stało naczynie, a w nim chleb wymieszany z pajęczyną. Nieco dalej dzban z jakąś cieczą. To od niej ciągnęła ta dziwna woń. Przemek leżał przykryty do pasa, a tułów miał odsłonięty. Prawy bok był obłożony jakimiś liśćmi.

- Witaj, Przemko! Tak się bałem o ciebie – zawołał Bartosz i ostrożnie ujął dłoń brata.

- Krucho... ze mną... - z trudem wyjąkał ranny. – Gdyby nie... ty...

- Ciii, nic nie mów. Jeszcześ słaby. Musisz leżeć. Czarownica powiada, że się z tego wyliżesz. Musimy tu zostać jakiś czas...

- Idź do naszych... i opowiedz...

- Nie mogę cię tu zostawić z tą jędzą!

- Musisz... Idź. Nic mi nie będzie...

- Dobrze, pójdę jeszcze dziś, a jutro wrócę. Ty zaś odpoczywaj.

Gdy Bartosz wyszedł z szałasu, starucha powiedziała:

- Masz mnie za obłąkaną. Nie słyszałeś nigdy o niciach? A ona je przędzie. Przekonasz się wkrótce.

- Bartosz nie miał czasu na rozmowę. Musiał się spieszyć, żeby zdążyć do swojego opola przed zmrokiem. Wyjaśnił tylko staruszce, co zamierza robić, podziękował za pomoc, poprosił o dalszą opiekę nad Przemkiem i na końcu zagroził:

- Jeśli choć włos spadnie mu z głowy, to ciebie potnę na nici! Bardzo długie, już takich nigdy nie zobaczysz!

- Tak mi się odwdzięczasz? Nie ze strachu mu pomogłam, więc mi teraz nie wygrażaj – odpowiedziała wiedźma, wyrwała się z uścisku Bartosza, obróciła do ogniska i dalej mieszła coś w kotle, mrużąc jakąś smętną melodię.

Tymczasem Bartosz, zabrawszy swój tobołek, wyszedł z lasu na niewielkie pole nad jeziorem. Na drugim brzegu stało kilka chat. To ich mieszkańcy wykarczowali ten skrawek ziemi i zamienili go w niwę. Piechur okrążył jezioro i zbliżył się do osady. Nieopodal na polu pracowało dwoje ludzi. Jeden szedł za wołem, ciągnącym drewniane brony, a drugi szerokimi ruchami prawej ręki rozsiewał ziarna zboża. Na widok Bartosza siewca przystanął i spytał:

- Jak czuje się Wasz brat?

- Lepiej, ocknął się niedawno. Dziękuję Wam za pomoc – odparł Bartosz.

- Zielarka go wyleczy. To dobra kobieta, trochę dziwna, ale nikogo nie skrzywdzi.

- Muszę iść, żeby zdążyć przed wieczorem. Bywajcie!

Wędrowiec mijał chaty. Na ogrodzonej łące w ich pobliżu pasło się kilka owiec. Przed wejściem siedziały kobiety przy kołowrotkach, a kawałek dalej na linie, obok rybackich sieci wisiała gotowa, wyprana owcza wełna.

- Oby Wam się dobrze wiodło – zawołał do kobiet.

- I wam też – odpowiedziały.

Bartosz kierował się na północny-zachód. Słońce zeszło już z zenitu, a przed nim było jeszcze dobrych kilka godzin marszu. Szedł drogą na Hopy i Pomieczyno. Gdy dochodził do rodzinnego Będargowa, zapadał wieczór. Przed chatą zobaczył matkę. Strach malował się na jej twarzy. Podbiegła do syna i spoglądała pytająco oczyma pełnymi trwogi.

- Żyje, tylko jest ranny. Nie martw się, nic mu nie będzie – uspokoił ją Bartosz.

- Chodź do domu, tam mi opowiesz.

Gdy weszli, Bartosz wyciągnął się na legowisku i odpoczywał, tymczasem matka przygotowała wodę do mycia i ciepłą strawę. Syn domyślał się, co teraz dzieje się w sercu matki, więc wkrótce zaczął opowiadać:

- Dotarliśmy szczęśliwie do Pola nad jeziorem. Ominęliśmy osadę i ruszyliśmy na Gdańsk. Wtedy Przemek usłyszał jakiś szelest. Zatrzymaliśmy się i zastanawialiśmy chwilę, co to może być. Ostrożnie, z gotowymi włóczniami przepatrywaliśmy krzewy. W jeżynach znaleźliśmy zapłatanego warchlaczka.

- I co zrobiliście? – niecierpliwiła się matka.

- Staliśmy chwilę nasłuchując, ale niczego nie dostrześliśmy. Nie było śladu ludzi, ani zwierzyny. W końcu Przemek zaczął ostrożnie go odplątywać. Wtedy, nie wiadomo skąd, jak spod ziemi wybiegła stara locha. Krzyknąłem do Przemka i z oszczepem rzuciłem się na lochę, ale ona już była przy nim, zdążył tylko trochę odskoczyć a jej szable rozorały mu lewy bok. Gdyby się nie ruszył, pewnie byłoby już po nim.

- To straszne! Co dalej, mówże prędzej – ponaglała matka. – Co z nim? Gdzie jest?

- Rana jest głęboka, mocno krwawił. Próbowałem zatamować krew, ale się nie udało. Po chwili omdlał. Wziąłem go na ręce i zawróciłem do Pola nad jeziorem. Cały czas krwawił. Ludzie poradzili mi zanieść go do starej zielarki. Położyli go na wozie i pojechaliśmy. – Bartosz na chwilę przerwał opowiadanie i zaczął jeść. Serce matki przeszywał ból.

- Dużo krwi stracił? Ocknął się?

- Ocknął. Zanim wyruszyłem, przyszedł do siebie. Jest słaby, krwi sporo upłynęło. Dzik zgruchotał mu też kilka żeber. Cały bok rozorany, ale zielarka dobrze go opatrzyła, zatamowała krwotok jakimś paskudztwem, śmierdziało, aż mnie zemdlilo. Dawała mu też coś do picia. Leży u niej w szałasie.

- Nic mu tam nie grozi?

- Chyba nie. Ludzie powiedzieli, że stara nie skrzywdziłaby nikogo.

- Co za lekkomyślność – westchnęła matka. – Jak byście pierwszy raz byli w lesie. To było do przewidzenia..

- Rozglądaliśmy się uważnie, niczego nie było...

- Nie było! I to nic omalże nie zabiło Przemka! Powinniście być ostrożniejsi!

- Masz rację, to nasza wina.

- Jak wróci ojciec, zastanowimy się, co robić dalej.

Uradzili, że Bartosz wróci do zielarki i będzie doglądał brata tak długo, aż będzie dość silny, by wrócić do domu. Nazajutrz wyruszył skoro świt. Zastał brata silniejszego i w lepszym nastroju niż wczoraj. Przemek bardzo szybko wracał do sił, ale rana goiła się powoli. Srodze

dokuczały mu żebra. Dopiero po tygodniu pierwszy raz dźwignął się z łoża i zrobił kilka kroków, jednakowoż szybko wrócił na posłanie. Minęło sporo dni, zanim znowu odważył się chodzić. Wówczas chcieli go zawieźć do domu, ale za namową czarownicy zdecydowali, że zostanie jeszcze kilka dni. Byli zdania, że pod jej opieką szybciej wyzdrowieje. Pozostał więc w szałasie, ale chodził teraz więcej. Niestrudzenie towarzyszył mu Bartosz. Zazwyczaj postępowali wokół jeziora, gawędzili z pracującymi na polu, czasem wypływali na jezioro czólnem rybaków. Kiedyś zapytali miejscowych o nici. Wcześniej wiele razy ciągnęli za język staruszkę, ale ona milczała. A jeśli nawet coś mówiła, to trudno ją było zrozumieć. Więcej dowiedzieli się od dwóch dziewcząt.

- Kiedy księżyc przybiera czerwoną barwę i zagłąda w głąb jeziora, budzi mieszkającą na dnie dziwożonę. Wtedy ona siada przy kołowrotku i zaczyna prząść nici – tłumaczyły dziewczęta.

- Cóż to za dziwne nici? – pytali bracia.

- Boginka zna przyszłość i widzi ludzkie losy. Wypuszcza nici na wiatr, a ten roznosi je wokół jeziora. Każdemu, kto jest w pobliżu, pozwala uchwycić nić życia. Według jej długości można zmierzyć długość swego żywota.

- A wy złapałyście już swoje nici? – pytał Bartosz.

- Boimy się.

- Czego?

- A jeśli będą bardzo krótkie? Lepiej tego nie wiedzieć.

Gdy bracia wrócili do szałasu, przemówiła do nich milcząca zazwyczaj zielarka:

- Powiedziały wam o niciach. Teraz już wiecie. Za trzy dni księżyc przyoblecze się w czerwień. Będziecie się mogli przekonać.

Trzy dni szybko minęły. Wieczorem bracia siedzieli nad jeziorem, czekając na księżyc.

- Nie boisz się? – pytał Bartosz.

- Trochę, ale zielarka powiedziała, że widziała moją nić. Mówiła przecież, że jest długa.

Ale ty?

- Boję się, ale chcę wiedzieć.

- Może to nieprawda? Może nie ma nici, a może są, ale nic nie znaczą – rozmyślał na głos Przemek.

- Tak czy siak, chcę się przekonać.

Księżyc wzeszedł bardzo czerwony. Powolotku unosił się nad tafel jeziora. Bracia strasznie się niecierpliwili. W końcu okrągła, czerwona tarcza odbiła się w ciemnej toni. Z głębi zaczęły dobiegać tajemnicze odgłosy. Wkrótce zerwał się lekki wiaterek i zaczął krążyć wokół jeziora. Roznosił niezwykle delikatne nici. Jedne były długie, inne bardzo króciutkie, jeszcze inne ciągnęły się niezmiernie. Bracia próbowali je chwycić, ale nie potrafili złapać żadnej. Wtem usłyszeli za sobą głos staruszki:

- A widzicie? Mówiłam wam. Już przedzie. Długie nici – długie życie, krótkie nici – krótkie życie, prządka przędzie, kto odważny niech pochwyci.

- Nie możemy żadnej złapać!

- Bo chwytacie cudze, nie wasze. Poczekajcie. Wiatr je do was przywieje. Poczekajcie – powtórzyła staruszka i znikła. Nad jeziorem roznosił się tylko jej nostalgiczny śpiew:

Dziwożono, Dziwożono

Przędź nić życia,

Zdradź z ukrycia,

Ile dni nam naznaczono.

Prawie w tym samym momencie Przemek wyciągnął dłoń po lecącą przed nim nić i złapał ją.

- Jaka długa! – zawołał pełen podziwu Bartosz. Przemek promieniał ze szczęścia. Obok nich znowu stała czarownica:

- Mówiłam wam. Takiej długiej jeszcze nie widziałam. Jesteś wybrańcem losu. Długie nici... - głos staruszki odbijał się echem od wód jeziora i powracał ze wszystkich stron naraz -...kto odważny niech pochwyci.

W tej chwili Bartosz chwycił swoją nić i nagle posmutniał. Wpatrywał się w nią z kamienną twarzą. Nie była to nawet ćwiartka nici Przemka.

-Żałujesz, że to zrobiliśmy? – zapytał brat i uściskał go, mocno tuląc do siebie.

- Nie, wolę wiedzieć. Teraz widzę, że nie mogę zmarnować ani chwili, bo nie mam ich w nadmiarze.

Bracia wkrótce powrócili z Pola nad jeziorem do domu. Opowiadali wszystkim o tajemniczej prządce i jej niciach. Te wieści stopniowo rozchodziły się po całych Kaszubach, ale niewielu śmiałków odważyło się schwycić swoją nić życia. Niemniej do Pola nad jeziorem wkrótce przyłgnęła inna nazwa: Prządkowo, którą dziś wymawia się Przodkowo. A najstarsi mieszkańcy jeszcze śpiewają:

prządka przędzie

różne nici,

 kto odważny,

niech pochwyci.

10. O MORACH

Boguś wrócił do chałupy, zaryglował drzwi i zwałił się ciężko na posłanie. Był potwornie zmęczony.

- Co to jest? – myślał. – Przecieżem jeszcze młody! Łońskiego roku tak się nie męczyłem. Czy to jaka choroba mnie naszła, albo co? Ani mnie chęci do popitki, ani do kobitki. Ledwo zwlekę się dodom a już nachodzi mnie sianie. Nawet robota tak nie idzie jak łoni. Co ze mną? – pogrążony w takich myślach czuł, jak ogarnia go błogość, jak opuszczają go resztki sił, ciało przyobleka się w lekkość, jakby go ktoś kołysał do snu, w uszach cicho rozbrzmiewa słodka, delikatna muzyka, niczym szum lasu i świergot skowronka. Zdawało mu się, że ktoś go głaszcze, jakaś delikatna dłoń dotyka pozwijanych w gęste loki włosów. Ten ktoś siedzi obok i pochyla się nad nim tklawie, a pachnące wiosną włosy z czułością pieszczą jego twarz. W takim nastroju zasnął, tak jak leżał, nierozebrany, nieumyty.

Jeszcze zimną troszczyła się o niego matka. Czekwała z wieczszą, narychtowała wody do mycia, przyszykowała posłanie. Wieczorem pogwarzyli, opowiadał, jak mu szło w lesie, w robocie, gdzie rąbali, ile drewna, dla kogo. Podzielił się nowinami, jakie przynieśli drwale z innych wiossek. Czasem matka poszła do kogoś i dowiedziała się nowości. Zawsze to we dwoje było inaczej. Nawet gdy w sobotę wieczorem, albo w niedzielę po mszy wyruszał do karczmy, matka przypilnowała, wyprała, wyprasowała niedzielne ubranie, doradzała, jak trzeba obchodzić się z kobietami.

Sen był dalszym ciągiem wieczornego widzenia. Leżał obok tej cudnej dziewczyny na leśnej polanie. Wokoło wiosna tętniła nowym życiem, wszędzie czuć było intensywny zapach żywicy, drzewa ciągnęły swe soki by wyżywić jasnozielone listki. Wśród mchów kolorami mieniły się leśne kwiaty. Ptaki wprost oszalały, prześcigały się w świergotach, bez opamiętania, w szale miłosnych uniesień. Słońce intensywnie ogrzewało młode, jędrne ciała. Czuł się niezmiernie szczęśliwy.

Obudził się koło północy. Z błógiego nastroju wieczoru nie pozostało ani śladu. Był zlany potem, zimny i drżał na całym cieie. Bał się. Z niemałym trudem usiadł na posłaniu.

- Znowu to samo – wyszeptał. Czuł jeszcze ciężar na piersiach i z trudem łapał oddech. Oparł się obiema rękoma o siennik i próbował głęboko oddychać. Powoli zaczął się uspokajać, wracał miarowy, równy oddech. Po chwili mógł już wstać i otworzyć okno. Poczul chłód majowej nocy. Na niebie księżyc świecił jasno, ale i tak widać było mnóstwo gwiazd. Pochlapał sobie twarz wodą z cebrzyka, zdjął ubranie i wsunął się pod skóry. Coś drapało go w policzek..

- Kłós żyta? Skąd się tu wziął? – zastanawiał się Bogusław.- Wczoraj go wyrzuciłem w kąć izby.

Ponownie chwycił go palcami i tym razem wyrzucił za okno. Zdawało mu się, że usłyszał jakiś cichy jęk, ale nie miał już siły wstawać.

- Jutro niedziela, na szczęście można pospać nieco dłużej – pomyślał i znowu usnął.

Niewyspany i bardziej zmęczony niż wczoraj w niedzielne przedpołudnie włókł się do Przodkowa, do kościoła. Pogrążony w rozmyślaniach nawet nie spostrzegł, jak znalazł się wewnątrz świątyni. W drodze powrotnej, choć niechętnie, zahaczył jednak o karczmę. Przed wejściem kręciła się grupka dziewcząt.

- Boguś! Tak dawno cię nie widziałam!

- A, to ty, Mirka. Miło cię widzieć.

- Odprowadzisz mnie? Rodzice już pojechali furmanką.

- Czekalaś tu na mnie?

- Nie. Coś ty. A właściwie tak.

- Nigdy nie umiałaś kłamać. Odprowadzę cię, ale nie licz na nic więcej.

-Czemu ty dla mnie jesteś taki niedobry? Czy ja jakaś straszna jestem, czy co? No powiedz! Boguś!

- A daj mi spokój! Czemu ty chcesz ode mnie? Uparłaś się na mnie, nie wiem dlaczego. Mało to kawalerów wokoło?

- Boguś!

- Coś źle wyglądasz. Zmizerniałaś tak jakoś...

- To przez ciebie... Boguś...

- Wiesz co? Idź se dalej sama. Ja lepiej już wrócę do kumpli – powiedział zniecierpliwiony i odszedł. Po chwili Mirka krzyknęła za nim:

- A moja matka chrzestna była mora!!!

Boguś znieruchomiał, ale po chwili ruszył dalej. Mirka stała jeszcze długo, wpatrując się w jego postać znikającą w pyłe drogi.

- Boguś. To wszystko przez ciebie – mówiła cicho. – Ty też zmizerniałeś. Wybacz mi proszę, ale to jest silniejsze ode mnie...

Boguś cały czas myślał o tym, co na końcu powiedziała Mirka.

- Po co ona mi takie rzeczy gada? O co jej znowu idzie? – zastanawiał się.

Gdy wracał z karczmy, postanowił odwiedzić starą ciotkę Bożenę.

- Tak mówią. Znikła nagle, nigdy się nie wyjaśniło jak. Ale potem morzenie ustało. To było ledwie rok po chrzcinach Mirki.

- Po co ona mi to powiedziała? – pytał Boguś.

- Może chciała ci... Sypiasz dobrze? Coś nie wyglądasz najlepiej – ciotka zaczęła mu się uważniej przyglądać. Rozmawiali do późna. Gdy wracał do domu, było już ciemno. Szedł prawie po omacku, bo noc tym razem była pochmurna, a księżyc pewnie jeszcze nawet nie wzeszedł.

- To wszystko przez tą moją nieśmiałość do kobiet – myślał po drodze. – A ona też, dlaczego mi się naprzykrza? Przez to mi obrzydła. Choć w gruncie rzeczy... jest niczego sobie.

Nagle zawrócił i skierował swe kroki wprost do domu Mirki.

- Mirka jest? – zapytał zdziwionego ojca na progu.

- A ty co tak po nocy? Jest, ale chyba już śpi. Zaraz zobaczę – odparł gospodarz i ruszył w stronę jej izby, a Boguś za nim.

- A ty tu czego? – oburzył się ojciec, gdy spostrzegł kawalera za sobą.

- Ciiii, bo ją obudzicie - uspokajał Boguś. Mirka leżała zwinięta w kłębek, nogi podkurczone, szybki, nierówny oddech, pot na czole, pięści mocno zaciśnięte.

- Nerwowa jakaś – powiedział zmartwiony ojciec. – Źle sypia. Często płacze. Jeszcze mi się dziewczęcę zmarnuje.

Boguś stał jak skamieniały i wpatrywał się w śpiącą Mirkę. Takiej jej jeszcze nigdy nie widział. Nagle zrobiło mu się jej żal. Zaczął się w nim budzić męski instynkt opiekuńczy. Przypominał sobie, ile razy, niby przypadkiem, spotykał ją w różnych miejscach, jak życzliwie spoglądała na niego oczyma pełnymi nadziei, jak potem odchodziła odtrącona, skulona w sobie jak niechciany pies. I to zawsze przez niego. Miał teraz ochotę do niej podejść i przytulić, pocieszyć, obronić ją przed tym, przed czym tak drżała. Powstrzymywała go tylko obecność ojca. Nagle wszystko zrozumiał. Lód w jego sercu stopniał do reszty, wreszcie i tam nastąpiła ciepła wiosna.

- Jak ja ci to wynagrodzę? Jak to naprawię? – szeptał.

- Co tam mówisz? – zapytał ojciec.

- Nie, nic. A dallybyście mi ją?

- Że jak? – nie dowierzał swym uszom starzec.

- Proszę Was o jej rękę?

- A mało to ona się nacierpiała przez ciebie? Co to za żarty? Jak chcesz się zabawić, to nie jej kosztem! Choć stary jestem, to jeszcze umniałbym ci złoic skórę...

- Kiedy ja naprawdę...

- Wynocha mi z chałupy! Napił się piwa i pcha mi się do łóżka dziewczyny! Do domu, już! Pora na ciebie!

- Od teraz będzie inaczej! Zobaczycie! Ja jej pomogę! – krzyczał Boguś jeszcze za progiem. – Zobaczycie! – i pędem poleciał do chałupy.

Jak wszedł do izby, szybko zaryglował drzwi, sprawdził, czy okna są dobrze pozamykane, zapalił wszystkie pochodnie i zaczął szukać. Na posłaniu leżał żytni kłos.

- Jest! Ciotka miała rację! Zobaczycie, co będzie dalej- gorączkowo wyrzuczał z siebie słowa. Kłosem zatkał dziurkę w zamku, odetchnął i położył się na legowisku. Szybko naszła go błoga senność, tak samo jak poprzedniego wieczora. Tej nocy rozpoznał w kobiecie na leśnej polanie Mirkę. Rozmawiali:

- To ty? – pytał Boguś.

- Zawsze to byłam ja.

- Dlaczego cię nie poznałem?

- Nie chciałeś na mnie patrzeć. Twój wzrok był skierowany gdzie indziej.

- Czekaaś?

- Czekałam. Długo czekałam..., aż to przyszło do mnie... i kazało..., ale ja nie chciałam...

Dalej Boguś nic nie pamięta. Obudził się znowu z braku tchu. Na piersiach i na szyi czuł ogromny ucisk. Sapał głośno, a spod drzwi dobiegało go inne sapanie. Zapalił łuczywo. Przed progiem siedziała skulona Mirka. Boguś powoli zbliżał się do niej.

- Zostaw mnie! – krzyknęła. – Nie podchodź!

- Nie bój się. Ja już wiem. To nie twoja wina. Nic ci nie zrobię.

- Wypuść mnie stąd! Słyszysz! Wypuść mnie!

- Nie. Tego nie zrobię. Zostaniesz tu ze mną. Na zawsze. Już nie będziesz morą. Pobierzemy się. Chcesz? – zapytał wyciągając do niej rękę.

- Chcę – powiedziała cicho. – Dobrze wiesz, że zawsze chciałam. Ale nie z litości. Nie potrzebna mi twoja litość!

- To nie litość, Mirka, ja cię kocham. Bałam się tego..., uciekałam, aż do wczoraj. Teraz już będzie dobrze, zobaczysz... – chwyciła go ostrożnie za rękę, trwożliwie się podniosła i pozwoliła przytulić. Ciągle jeszcze się bała, wciąż nie mogła uwierzyć, była podejrzliwa, tyle razy ją odpychano, tyle razy raniono...

Boguś dotrzymał słowa, wkrótce się pobrali i żyli szczęśliwie. Morzenie ustało, a Mirka była wzorową żoną i matką, albowiem szybko doczekali się sporej gromadki pociech. We drzwiach domu zawsze mieli wetknięte kłosa. Po kilkudziesięciu latach wokół ich chaty stało kilka innych. Tak powstała nowa wioska, którą wszyscy nazywali Kłosowo. Ta nazwa pozostała do dziś, choć mało kto pamięta, dlaczego.

11. O ZAPADNIĘTYM ZAMKU

TEKST 1

Za czasów księcia Świętopelka Białogarda przeżywała ostatnie lata swej świętości. Grodem tym, położonym przy trakcie z Gdańska do Słupska, władał wtedy Racibor, brat Świętopelka.

Nie był to dobry człowiek. Od wielu lat wojował ze swym bratem. Zawiść i żądza władzy pchały go do tej wojny. Niepotrzebnie ginęli jego poddani, marnowano majątek, a kraj podupadał. Okolice Białogardy coraz bardziej się wyludniały.

Któregoś dnia zaniepokojone tym okoliczne zielarki zebrały się na naradę, a potem udały się do księcia. Dziwny był to widok, kiedy kilka staruszek żwawym krokiem maszerowało przez zamkowy dziedziniec. O czym z księciem rozmawiały, nikt dokładnie nie wie. W każdym razie dość szybko wyszły z niezbyt wesołymi minami, Racibor zaś kipiał gniewem.

Niebawem z Białogardy wyruszyła nowa wyprawa przeciwko Świętopelkowi. Przed bramą księżę żegnał się z córką:

- Tu w grodzie powinnaś być bezpieczna. Uważaj jednak na siebie. Nigdy nie wiadomo, co tym wiedźmom przyjdzie do głowy
- Ojczy, nie martw się o mnie. Myśl raczej o tym, jak rozprawić się ze Świętopelkiem. A tych staruch się nie boję. Ruszaj już! Szkoda czasu – odważnie mówiła księżniczka.

Wychowano ją prawie jak chłopca. Doskonale jeździła konno, umiała władać mieczem, strzelać z łuku i rzucać włócznią. Pod nieobecność ojca zarządzała grodem. Bano się jej bardziej niż księcia. Wcale nie myślała o amorach i zamążpójściu.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem rozszalała się straszliwa burza. Takiej nawałnicy w tych stronach nigdy nie widziano. Racibora bardzo to zaniepokoiło.

- To nie jest zwykła burza. Lepiej wracajmy do grodu – rozkazał swoim oddziałom.

Do Białogardy dotarli krótko przed świtem. Wtedy właśnie uderzył ostatni piorun i trafił prosto w zamek. Uderzenie było tak silne, że mury grodu zatrzęsły się i z trzaskiem runęły na ziemię. Racibor i przerażeni wojownicy rzucili się dworzanom na ratunek, ale wśród gruzów nie było nikogo żywego. Nie znaleziono też żadnych ciał. Racibor jeszcze wiele dni przeszukiwał ruiny, wszystko na darmo.

Utratę córki przeżył bardzo głęboko. Po tej tragedii zrozumiał, jak nikczemnie postępował, walcząc z rodzonym bratem. Dlatego też wkrótce pierwszy wyciągnął ku niemu rękę na zgodę.

Tymczasem mieszkańcy grodu wcale nie zginęli. Po prostu wcześniej staruszki przemieniły ich w zwierzęta, które, gdy nadeszła burza, rozbiegły się po okolicy.

Przez wiele lat krążyły wśród ludu najróżniejsze opowieści o tym wydarzeniu. Mówiono, że istnieje sposób na odczarowanie księżniczki, ale nikt nie wiedział jaki.

Aż znalazł się śmiałek, który za wszelką cenę pragnął uratować córkę księcia. Dniami i nocami błąkał się po ruinach zamku. Wreszcie którejś nocy spotkał tam przygarbioną kobietę.

- Wiem, po coś tu przyszedł. Ponieważ okazałeś się wytrwały, powiem ci, co należy robić. Obejdź wzgórze dokoła i pocałuj każdego, kogo spotkasz. Nikogo nie pomiń – stanowczo powiedziała czarownica.

Nim znikła, młodzieniec ruszył w drogę. Nie spodziewał się jednak, że będzie musiał całować zwierzęta. Spotykał sarny, jelenie, zające, różne ptaki i zwierzęta domowe. Posłuszny wskazówkom staruszki dzielnie obdzielał wszystkich pocałunkami. Kiedy jednak spotkał ropuchę zawołał:

- O nie! Tego już za wiele! Takiego paskudztwa całować nie będę. Odwrócił się i zrezygnowany chciał odejść. Wtedy usłyszał za sobą smutny głos:
 - Dlaczego nie chciałeś mnie pocałować?
- Odwrócił się i ujrzał piękną księżniczkę.
- Byłeś już tak blisko celu - mówiła dziewczyna – uratowałeś wszystkie me sługi, mogłeś też uratować mnie i mój zamek. Teraz już wszystko stracone.

Księżniczka smutno spuściła głowę i znikła, a młodzieniec w tej chwili pożałował swego obrzydzenia do żaby. Biegał jeszcze po ruinach i wołał, ale nikt się więcej nie zjawił.

Dzisiaj nie ma już śladów po dawnym zamku, ale księżniczka wciąż czeka, by ktoś dał jej to, czego sama nie miała; odrobinę miłości.

TEKST 2

Niedaleko Borzytuchomia, nad jeziorem miał swój zamek bogaty rycerz, Cieszymir. Źródłem jego dochodów byli kupcy, licznie zatrzymujący się u niego w czasie swych wędrówek z Gdańska, Elbląga i Bytowa na zachód, aż do obcych krajów.

Cieszymir miał piękną córkę, Miławę. Wiązał z nią wielkie nadzieje. Kupcy rozgłaszali już na obcych dworach wieści o jej urodzie i mądrości. Nic też dziwnego, że w Borzytuchomiu zaczęli pojawiać się wysłannicy zamożnych rycerzy. Im goręcej prosili ojca o rękę córki, tym bardziej rosły jego ambicje. Kochał Miławę nad życie, ale coraz bardziej liczył na majątek, który wniesie jej przyszły małżonek.

Na drugim brzegu jeziora ze swą matką mieszkał młody pasterz. Żyli biednie, ale szczęśliwie. Sami nie mieli żadnej trzody, lecz młodzieniec wypasał bydło mieszkańców Borzytuchomia. Jaromir, bo takie imię nosił, był bardzo urodziwy i wesoły.

Kiedy Cieszymir wyjeżdżał ze swą drużyną, Miława także opuszczała zamek, by przechadzać się w pobliżu niego, lub w wiosce, gdzie nic jej nie groziło. Podczas jednego z takich spacerów spotkała Jaromira, odprowadzającego bydło do chłopskich zagród. Chłopiec od razu się jej spodobał. Przystojny i radosny okazał się też bardzo bystry. Od dawna już był oczarowany urodą rycerskiej córki. Do tej pory jednak mógł o niej tylko marzyć. Teraz zaczęli spotykać się dość często.

Wkrótce dowiedział się o tym Cieszymir i wpadł w straszny gniew. Na myśl, że Miława widuje się z pastuchem, krew wzburzyła się w jego żyłach. A gdy zdał sobie sprawę, że córka mogłaby chcieć poślubić tego prostaka, wpadł w prawdziwą furję i zabronił dziewczynie wychodzić poza mury zamku. Mogła przechadzać się jedynie nad brzegiem jeziora.

Smutek przysłonił wtedy twarze młodych, ale nie na długo. Pewnego dnia, kiedy Jaromir, pasąc jak zwykle bydło na łąkach, wpatrywał się w zamkowe mury, koło niego niespodzianie pojawiła się staruszka. W ręku trzymała gałązkę wierzby, którą podała pasterzowi i rzekła:

- Zrób z niej fujarkę i zagraj wieczorem – po czym zniknęła tak nagle, jak się pojawiła.

Jaromir był bardzo zdziwiony, ale wykonał polecenie kobiety. A kiedy wieczorem zagrał na fujarce, wody jeziora rozstały się, tworząc przejście wprost do zamku. Zdumiony pasterz, nie przerywając grania, szedł po Miławę.

Od tej pory młodzi spotykali się co wieczór. Jaromir grał i przychodził do Miławy, albo ona do niego. Ale i to nie uszło uwadze Cieszymira. Któregoś wieczora zakradł się w pobliże pastwisk i dostrzegł kochanków. Na ten widok krew uderzyła mu do głowy. Błyskawicznie dobył miecza, wyskoczył z zarośli i ruszył na Jaromira. Przestraszona Miława rzuciła się do ucieczki. Pastuch natychmiast zaczął grać, aby woda nie zatopiła jego ukochanej. Cieszymir zaś zamierzył się na grajka. Ten w ostatniej chwili zdążył zasłonić twarz fujarką. Jej czarodziejska moc wstrzymała siłę ciosu, ale wierzbina pękła. Wtedy wody jeziora zaczęły się zstępować. Jaromir był bezradny - nie miał na czym grać. Kiedy Cieszymir oprzytomniał i zrozumiał, co zrobił, było już za późno. Miława pogrążyła się w jeziorze. Ojciec w ostatnim porwywie zaborczej miłości rzucił się, by ją ratować, lecz też się utopił.

Wtedy stała się rzecz jeszcze dziwniejsza: waz ze swym panem i jego córką, wśród straszliwych gromów w nicość zapadł się ich zamek. W powietrzu jeszcze przez chwilę unosiły się tumany kurzu, po czym oczom Jaromira ukazał się zatrwająący widok: po zamku ukochanej nie było śladu. Na jego miejscu stała tylko tajemnicza staruszka. Po chwili zaś do uszu Jaromira doszedł cichy, niesiony przez wody jeziora głos:

- Strugaj nową fujarkę.
- Z czego? – zapytał przerażony pastuch.
- Za tobą rosną wierzby. Strugaj cierpliwie.

I pasterz wziął się do roboty. Zadanie nie było jednak łatwe. Kiedy zagrał na pierwszej fujarce, nic się nie wydarzyło. Tak samo było z drugą, trzecią..., dziesiątą, dwudziestą. Jaromir nie rezygnował. Mijały dni i nad jeziorem leżał już spory stos bezużytecznych instrumentów. Dopiero kiedy pasterz zagrał na setnej fujarce, usłyszał znajomy, przejmujący dźwięk. Wtedy też wody jeziora rozstały się na nowo i wyszła z nich znana postać – była to Miława, ale wyglądała trochę inaczej, jakby wstała ze snu, nieco blada, chwiejna, lecz wciąż tak samo piękna. Podeszła do swego kochanka, a gdy ten chciał wziąć ją w ramiona, drogę zastąpiła mu tajemnicza staruszka – czarownica.

- Miława będzie twoja, jeśli okażesz jeszcze trochę cierpliwości.
- Co mam robić? – spytał rozgorączkowany Jaromir.

- Graj i idź przez jezioro w stronę drugiego brzegu. Miława pójdzie za tobą. Nie wolno ci jednak obejrzeć się za nią, dopóki oboje nie dojdziecie do miejsca, w którym dawniej stał zamek.

To rzekłszy kobieta zniknęła, a młodzi ruszyli przez jezioro. Im bliżej byli drugiego brzegu, tym bardziej wynurzało się z ziemi zamczysko Cieszymira. W końcu Jaromir stanął na twardym gruncie i obejrzał się za ukochaną. Miława kroczyła jeszcze po dnie jeziora. Pasterz zapomniał o słowach staruszki i, niestety, jej groźba zaczęła się spełniać. Wkrótce wody znowu się zstąpiły i po raz wtóry uniosły dziewczynę ze sobą. W tej samej chwili zniknął też zamek. Na brzegu stał już tylko sam Jaromir. Zrozpaczony złapał się za głowę.

- Dlaczegoż zapomniałem o przestrodze czarownicy?!

Pasterz jednak nie zmarnował tej lekcji. Podobno po pięćdziesięciu latach znowu nawiedziła go staruszka. Tym razem dojrzały już mężczyzna wiernie wypełnił jej nakazy. Ale zamek więcej się nie pokazał. Tylko dwoje niemłodych już kochanków zamieszkało w ubogiej, pasterskiej chacie.

12. O HAFCIE KASZUBSKIM

- Siostró Ludmiłó! Siostró Ludmiłó!
- Jestem tutaj – odezwał się głos w celi na końcu korytarza – co się stało?
- Matka przeorysza wzywa do siebie.
- Dobrze, już idę.

Siostra Ludmiła drobnymi, szybkimi kroczkami posuwała się w kierunku celi Matki Przełożonej, która zaledwie przedwczoraj przybyła na nową placówkę. Była to kobieta łagodna i jednocześnie stanowcza.

- Niech siostra usiądzie – łagodnym gestem pokazała podwładnej miejsce na krześle. – Podziwiam siostry robotę, obrusy, serwety, humerały i puryfikaterze,... piękne, misternie haftowane, cudne wzory. Skąd siostra to umie?
- Uczyła mnie świętej pamięci, Panie świeć nad jej duszą, siostra Miłósława. To jej zasługa – skromnie odrzekła Ludmiła i spuściła oczy.
- Jedno mnie tylko zastanawia. Ten motyw, niech siostra spojrzy, czy nie myłę się sądząc, że to róża? – pytała Matka.
- Tak, w istocie, ma Matka rację, to jest róża – odparła Ludmiła.
- No właśnie, niechże mi więc siostra wyjaśni, dlaczego jest niebieska, zamiast czerwona? – dziwiła się Przeorysza.
- To moja wina, ja sama wprowadziłam taką zmianę – odparła przestraszona Ludmiła i znowu spuściła głowę.
- Ale dla jakiej przyczyny? Czyż widziała siostra kiedy niebieską różę? – dociekała przełożona.
- No właśnie, proszę chwilę poczekać, niebawem powrócę i coś Matce pokażę – powiedziała Ludmiła i prawie biegiem opuściła celę. Wróciła po chwili, trzymając w rękach wazon z bukietem kwiatów.
- A cóż to za cuda? – wykrzyknęła zdziwiona Matka.

Dalsza część tej rozmowy odbywała się wieczorem następnego dnia. Matka Przełożona siedziała na ławeczce w przyklasztornym ogrodzie, a obok niej siostra Ludmiła.

- Opowiadano mi o tej tragedii wiele, ale Siostra pewnie wie o niej najwięcej.
- Wiem tyle, co wszyscy, miałam to szczęście, że dzień wcześniej wysłano mnie do Żarnowca i tak uniknęłam śmierci. – mówiła Ludmiła.
- A co siostra może powiedzieć o siostrze Miłósławie?
- Do końca życia będę Bogu dziękowała za to, że dał mi ją spotkać. To był anioł, nie człowiek.
- Nie należała do bogatych – wtrąciła się Przełożona.
- Nie, pochodziła biednej szlachty kaszubskiej, gdzieś z okolic Strzeczca. Miała wiele rodzeństwa, jej rodzice nie byli zamożni, uprawiali ziemię. Córkę oddali do zakonu, bo od małości odznaczała się niezwykłą pobożnością.
- Skąd zatem mieli na wiano?
- Podobno pomógł im jakiś pątnik, czy pustelnik, dokładnie tego nie wiem. Ktoś zdumiony świętością młodej pannicy postanowił pomóc jej w spełnieniu marzeń i tak trafiła do żukowskiego klasztoru.
- Znać była taka wola boża, Pan Bóg posługuje się ludźmi, aby realizować swe zamysły – westchnęła Matka.
- Czy ich śmierć też była Jego zamiarem? – zapytała nagle siostra Ludmiła.
- Śmierć dla ziemi, narodziny dla nieba. Myślę, siostró Ludmiłó, że możemy im wszystkim teraz zazdrościć – odpowiedziała uśmiechnięta Matka.
- To była bohaterska śmierć. Ale gdyby wojska księcia przybyły choć pół godziny prędej, Miłósława pewnie teraz byłaby z nami – rozmarzyła się Ludmiła. – Co one tym Prusom zrobiły, że tak okrutnie się z nimi obeszli?
- To nie tak, droga siostró. Oni pragnęli tylko łupów. Myśleli, że znajdą tu wystraszone siostry, albo że szybciej wszystkie uciekną. Nie spodziewali się, że te słabe niewiasty będą bronić tego, co dla nas święte. To ich jeszcze bardziej rozsierdziło.
- Cóż to za okrutny naród! – oburzyła się Ludmiła.

- Potrzebują nawrócenia, nauki, dobroci. Słyszałam, że już podjęto jakieś starania, żeby zacząć pracę nad ich zbawieniem. Trzeba nam wiele modlić się za nich. A teraz przejdźmy się na miejsce męczeństwa sióstr, jeszcze nie zdążyłam tam zajść, pewnie nawet sama bym nie trafiła.

- Chodźmy, zaprowadzę mateczkę, to tam, za młynem – Ludmiła chwyciła Matkę przełożoną pod rękę i ruszyły.

Gdy były już na miejscu, ujrzały tam dość duży krzew kwitnącej róży.

- To tutaj. Tutaj je zamordowali, wszystkie, po kolei, Miłosławę podobno ostatnią, musiała biedaczka swymi pięknymi niebieskimi oczyma patrzeć na śmierć każdej z nich – przez łzy mówiła Ludmiła.

- Nie płacz, siostró, no chodź do mnie, przytul się – pocieszała ją przełożona, jak umiała. – Trzeba tu trochę uporządkować. Dobrze, że pochowano je bliżej kościoła, a nie w tej dziczy.

- Niech Mateczka poczeka, zerwę kilka róż. Proszę popatrzeć, jakie ładne, czerwone.

Następnie siostry udały się na grób męczenniczek. Tu zmówiły modlitwy i wstawiły kwiaty do wazonu.

- Nie ma już wody, zaraz przyniosę trochę z Raduni. – powiedziała Ludmiła i zanim Matka Przełożona zdążyła otworzyć usta, siostra już biegła w stronę rzeki. Matka Beatrix stała i spoglądała na bukiet pięknych, czerwonych i purpurowych róż. „Czarowne, żywe kolory. Może sprawia to krew tych niewinnych sióstr? – pomyślała. – Jakże się to zatem dzieje, że tak się zmieniają?” Tymczasem Ludmiła już wróciła z wodą.

- Zobaczy Matka jutro rano, jeśli będzie słonecznie, kwiaty się zmienią.

- No to przyjdźmy tu jutro po jutrzni – z lekkim niedowierzaniem zaproponowała Matka Przełożona.

Następnego dnia siostry stały znowu nad mogiłą. Róże były takie same jak wczoraj.

- To przez pogodę, nie ma słońca – smutno powiedziała Ludmiła.

Rzeczywiście, niebo przykrywały cieniutkie obłoczki. Ale w tym właśnie momencie zza jednego z nich wyjrzało wesołe słońeczko. Po chwili na oczach Matki przełożonej kwiaty zaczęły zmieniać barwę na niebieską.

- Widzi Mateczka, niebieskie, i to w trzech odcieniach. – Ludmiła od razu się ożywiła. – Te są jasne jak nasze kaszubskie niebo, dlatego musi być słonecznie, inaczej zostaną czerwone. Te nieco ciemniejsze mają kolor jak oczy siostry Miłosławy. Niech no Mateczka postawi bukiet na innym grobie, a niebieski zniknie. – to mówiąc, przeniosła wazon w inne miejsce i rzeczywiście, po chwili róże zaczęły tracić niebieskie barwy. Kiedy jednak bukiet na powrót stanął na grobie siostry Miłosławy, powtórnie przybrały tony niebieskie. – A te najciemniejsze są niczym woda w Raduni. Gdyby je włożyć do wody ze studni, znowuż będą purpurowe. Zaraz spróbuję – i Ludmiła wzięła wazon z sąsiedniego grobu, przełożyła kwiaty, a za moment wszystkie zrobiły się czerwone. Kiedy na powrót znalazły się w wodzie z Raduni, po chwili stały się modre. – Mateczka sama widzi, jest tak, jak mówiłam.

- Nie pojmuję tego, co widzę- dziwiła się przełożona. – Powiadając otwarcie, myślałam, że siostra farbuje czymś te kwiaty, albo wlewa inkaustu do wody.

- Ja też niewiele z tego rozumiem, dlatego staram się na to patrzeć sercem, a nie rozumem.

-Widać tak musi być – dała za wygraną Matka Przeorysza. - Zatem dobrze, pozwalam ci, dziecko, haftować na niebiesko. Niech nasze, żukowskie różę będą niebieskie, tak jak te na grobie siostry Miłosławy. Używaj nici w trzech modrych odcieniach. Będziemy miały haft niebieski.

Jak nakazała Matka Przełożona, tak też się stało. Siostry przez wieki upowszechniły w okolicy sztukę haftu i jego kaszubskie motywy. Do dziś typową cechą żukowskiej szkoły haftu jest przewaga barw niebieskich, a zwłaszcza niebieskie róże.

INFORMACJE:

Siedem *kolorów* kaszubskich znamionuje ten region. Barwy Kaszub odnajdziemy w hafcie kaszubskim, malarstwie czy kaszubskich strojach ludowych.

Stroje kaszubskie charakteryzowały siedmiobarwny haft. Okazuje się bowiem, że to właśnie siedem kolorów znamionuje ten przepiękny i bogaty kulturowo region. Chodzi m.in. o

- kolor chabrowy, odzwierciedlający piękne jeziora kaszubskie;
- niebieski jak niebo nad Kaszubami;
- granatowy jak głębia morza;
- żółty jak łany zbóż na polach;
- zielony jak lasy pełne zwierza;

- czerwony jak krew, którą Kaszub gotów jest przelać za obronę ojczyzny,
- zaś czarny jak kaszubska ziemia na polu.

W hafcie kaszubskim dominują motywy i kompozycje roślinne. Najpopularniejsze z nich to zaczerpnięte z okolicznej przyrody: bratki, chabry, dzwonki, koniczynki, margaretki, niezapominajki, słoneczniki i róże. Haft nie oparł się jednak wpływom obcym co zauważyć można w motywach takich jak: granat, palmeta, tulipany czy akanty, stosowanych przede wszystkim w klasztorach. W wielu kompozycjach haftu kaszubskiego, wiodącym elementem jest „drzewo życia”, którego gałęzie, nie mają prawa się krzyżować, nakładać i przeplatać, bo życie człowieka powinno być proste i przejrzyste.

13 O DIABELSKICH PIENIĄDZACH

W jednej z wiosek nieopodal Sulęcyna mieszkał biedny Stach z białką.

- Co tam masz dzisiaj na obiad? – spytał chłop, gdy wrócił z pola.

- Resztę bulew – smętnie odparła gospodyni.

- I nic więcej?

- I czworo głodnych dzieci.

- To wszystko?

- Jeszcze jeden ciekawski chłop niedowiarek – na twarzy białki pojawił się lekki uśmiech.

- No jo. A nie mogłaś znaleźć sobie jakiegoś lepszego? – pytał chłop.

- Szukałam, ale nic lepszego wtedy nie mieli.

- A nie znałaś takiego przystojnego, zaradnego, pracowitego, wesołego, kochliwego, co to wszystko umiał, do każdej roboty się nadał i zawsze zarobek jakiś znalazł, a na imię miał Stach?

- Znałam, pewno że znałam, nawet dość długo, jakieś osiem lat, ale ostatnio nie wiem, gdzie się podziewa. Za to w jego miejsce pojawił się inny, nieco mniej przystojny, niezaradny, choć pracowity jeszcze bardziej niż tamten, i też wesoły, kochliwy, że na samą myśl aż w dołku ściska, wszystko umie i do każdej roboty się nada, ale żadnej znaleźć nie może i zarobku nie przynosi. I też się Stach nazywa – po tych gorzkich słowach białka słodko spojrziała na swojego chłopca.

Ale jemu tym razem nie było do śmiechu. Smutny zjadł obiad, wziął czapkę i wyszedł z chałupy, z trudem zamykając drzwi zerwane z jednego zawiasu.

- Nawet nie mam na kowala, żeby zawias zreperował – pomyślał, wychodząc z podwórza.

Popołudniu musiał iść na odrodek do Piocha za pożyczanie konia. Stachowi konie łońskiego roku się spłoszyły, jak pracował przy torfie, i utonęły w błotach. Teraz musiał pożyczać, żeby obrobić swoje cztery morgi, z których próbował utrzymać rodzinę. Od Piocha wrócił dopiero późnym wieczorem.

W niedzielę po mszy nie wrócił do domu na obiad. Wiedział, że nawet dla dzieci nie starczy. Z daleka słyszał odgłosy dobiegające z karczmy. Przed nią grupka chłopów, siedząc na ławie, popijała piwo.

- Stachu! – odezwał się jeden.

- Co?

- Usiądźże z nami. Postawimy ci jedno.

- Eee... tam. Od jednego się zaczyna – niechętnie odparł Stach.

- Ale jedno, nic więcej – namawiali dalej.

- Nie mam chęci do picia – wzbraniał się Stach i poszedł dalej.

- Jak się tak będziesz trzymał od nas z dala, to nigdy roboty nie znajdziesz - wołali za nim chlōpi.

- Tym to dobrze - myślał Stach tymczasem – mają robotę w lesie, mogą sobie piwko pić.

Ale nie lubił ich kompanii. Pili za dużo, nawet podczas roboty, lubili kantować i nie byli rzetelni. Stach ze swoją uczciwością był im zawadą i, jeszcze gdy robił razem z nimi, dawali mu to odczuć. Musiał się z nimi rozstać.

Doszedł do swojego pola, ale co to tam było za pole, poletko raczej, zorane tylko do połowy, bo Pioch chciał mieć swojego konia z powrotem.

Potem zawędrował aż na zdroje, gdzie pasła się ich ostatnia koza z jednym małym. Tyle z niej było, że najmłodszy, Józek, miał co pić. W zimie, nikt nie wie od czego, padły dwie starsze kozy. Rok wcześniej jedyna krowa. Stach usiadł teraz pod lasem, głowę ujął w dłonie i ciężko się zadumał. Nawet nie zauważył, jak zaczęło się ściemniać. Ocknął się, gdy usłyszał przejeżdżający drogą wóz.

- Stachu, jedź z nami – zawołano z wozu – przyda ci się trochę opału.

- Boga się nie boicie. Jeszcze was piekło pochłonie za to złodziejstwo – odkrzyknął Stach do chłopów jadących pod osłoną ciemności na szaber drewna.

- Ty nas tu nie strasz! Takiś pobożny? To czemu Ten Bóg ci nie chce w biedzie pomóc? – naśmiewali się ze Stacha.

- Głupcy – pomyślał, gdy ich sylwetki ginęły w mroku lasu. Ale w jego sercu pojawił się mały cień; - „Czemu Ten Bóg ci nie chce w biedzie pomóc?” – te słowa kołatały mu się po głowie. - No właśnie, czemu?- pytał sam siebie. – A może to ja jestem głupiec? Może trzeba żyć jak tamci? Może... – i z tymi niewesołymi myślami skierował się z powrotem w stronę swej chałupki.

Kiedy wyszedł z lasu, mimochodem zerknął na swoje poletko. Zdawało mu się, że coś tam błysnęło.

- Chyba mam jakieś omamy z tego głodu – myślał. Za chwilę znowu błysk. Potem jeszcze jeden i kolejne. W końcu pojawił się równy, jasny płomień. Po chwili był to już wysoki słup ognia. Chłop wystraszył się nie na żarty. Podbiegł jednak bliżej, myśląc, że może pali się wóz, albo co. Zobaczył wszelako coś zupełnie nieoczekiwanego: w płomieniach stała otwarta żelazna skrzynia pełna złotych monet.

- Chyba źle ze mną – pomyślał Stach. – Wypisz wymaluj jak w opowieściach prababki,... diabeł grzeje..., nie, suszy pieniądze. Jo, purtk suszy pieniądze zakopane w ziemi. Tyle pieniędzy! Gdyby tak mieć choć cząstkę tego skarbu.

Wtedy sobie przypomniał, co opowiadali starzy ludzie. Wyjął z kieszeni różaniec, rzucił w płomień i pędem puścił się do domu.

Nazajutrz wrócił w to miejsce z białką. Bez trudu znaleźli na ziemi różaniec.

-To tu. Tu musimy kopać – stwierdził Stach.

Żonie nie bardzo chciało się wierzyć w mężowską opowieść, ale Stach był taki przejęty i zdecydowany, że nie miała odwagi się mu sprzeciwić. Po godzinie przy dość głębokiej dziurze zatrzymała się karetka, a w niej bogato odziany mężczyzna.

- Ty jesteś Stach?- zapytał, ale Stach się nie odzywał.

-Mam dla ciebie dobrą robotę. Jutro zaczynamy wyręb lasu, potrzebny mi dobry, uczciwy drwal do pilnowania robotników. Nająłem wszystkich chłopów ze wsi. Dobrze ci zapłacę - zaproponował bogacz, ale Stach nie przerywał swojego zajęcia. Wkrótce zniecierpliwiony pan kazał woźnicy odjechać.

Nie minęła druga godzina, a zjawił się sąsiad Stacha. Prowadził ze sobą wieprza.

- Idę na targ, Stachu. Chodź ze mną, postawię ci piwo – zaproponował. Stach jakby nic nie słyszał.

- Jak ze mną pójdziesz, dam ci dobrą robotę. Porządnie zapłacę – Stach kopał dalej, na sąsiada nawet nie spojrział.

Żonę bardzo to niepokoiło:

- Stachu, czy ty aby jesteś zdrowy? Nie szukasz już roboty, tylko jakiegoś skarbu?

Ledwie to powiedziała, a zjawił się przy nich sołtys Pioch.

- A co to, Stachu, miałeś robić dziś u mnie?

Stach kopał dalej.

- Zgłupiałeś do reszty! Bieda ci rozum odebrała?

Stach nie odpowiedział ani słowem.

- Jak tak, to dobrze, ale po konie więcej nie przychodź!- wrzasnął oburzony Pioch, obrócił się na pięcie i ruszył prędko do wsi. Stachowa białka już chciała uderzyć w lament, ale wtedy łopata Stacha uderzyła w coś twardego. Po chwili widać już było solidne wieko z żelaznymi okuciami, a wkrótce całą skrzynię pełną złotych monet.

- Teraz mi wierzysz?- zawołał Stach.

- A już myślałam, żeś całkiem pomyślunek stracił.

- Bo to nie byli ludzie, białko, tylko diabeł, chciał nas od swych monet odciągnąć. No, to już chyba koniec naszych kłopotów.

- Stachu, ja się boję tych pieniędzy, to jakaś siła nieczysta – mówiła wystraszona kobieta.

- Diabeł to jest siła nieczysta, a pieniądze to są pieniądze, niegodziwa mamona i tyle. A wiesz, co Jezus o nich mówił?

- Nie, co?

- „Pozyskujcie sobie przyjaciół niegodziwą mamoną, aby gdy wszystko się skończy, przyjęto was do wiecznych przybytków”, ot co. Dość już ta siła nieczysta nam życie uprzykrzała. Teraz jej pieniędzmi pomożemy sobie i innym. Widzisz, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

- Ej, kawalerze, czy ty nie jesteś czasem tym Stachem, za którego wysłałam przed paroma laty? – radośnie zawołała uspokojona żona.

- A jakże, to jestem ja, moja luba! – odparł wesoło Stach, chwycił swą białkę w pół i okręcił się parę razy w kółko, aż zapiszczała z uciechy.

14. O KAMIENNYCH KRĘGACH

TESKT 1:

Patrz teksty o stolemach

TEKST 2:

- Ciężka praca, a zarobek marny – pomyślała Jadzia. Od wczoraj szykuje na wesele u Kuchty na pustkach w Borczu. Biszkoty już gotowe. Dziś kolej na mięsa i ryby. Kremy i reszta mięs jutro.

- Gorąco, co za upał – myśli dalej i ociera szmatką pot z czoła. Stoi przy rozżarzonemu piecu w samej koszuli i spódnicy, rozklepuje kotlety i podaje jednej z dziewcząt. Ma dwie pomocnice, jedna bardzo szybka i bystra, sprawnie uwija się z robotą, jak jedno skończy, sama bierze się za dalsze. Druga za to bardzo wolna, a przy tym niedokładna. Ciągłe żeby ją poganiał i do tego jeszcze pilnował. Prawdziwa z nią uciemięga. Do pomocy jest też sąsiadka Kuchtów, Agnesa. Przychodzi na dwie, trzy godziny do południa i tak samo popołudniu. Bardzo gadatliwa baba, gęba jej się nie zamyka.

- Chcieli najać Elżbietkę, ale wydała im się za droga. To szukali tańszej – mówiła do Jadzi.- Ja to bym i za dwa takie zarobki się nie godziła.

- To czemu przychodzicie pomagać? – pytała Jadzia.

- To co innego. Sąsiadom mam nie pomóc? Zresztą ona też przychodziła pomagać. Ale wy? – dziwiła się Agnesa.

- A co mam robić, jakoś dzieciaki trzeba żywić, nie?

- Ano trzeba. Nie zazdroścę wam, że też Zdzychowi tak lichy poszło! Ani nie zarobi, a pewnie na doktorów majątek idzie? – badawczo spoglądała na kucharkę.

Po tych słowach Jadzie złość wzięła na swój los. Przez głowę przelatywały różne myśli. „Za co Pan Bóg tak nas pokarał? Za co? Żyliśmy uczciwie i skromnie. Pracowaliśmy, na ile siły pozwalały. Nikomu krzywdy nie wyrządziliśmy! I takie nieszczęście! A gdzie sprawiedliwość?” Tak myślała, ale nic Agnesie nie rzekła. Jeszcze by co gospodyni przepowiedziała. Nachodziły ją też gorsze myśli, sama się ich bała. Przychodziły jakby z zewnątrz i wewnątrz zarazem, jakby kto w niej siedział i szeptał od środka na ucho. Jak tylko pojawiał się ten głos, zaraz go odganiała.

- Śmieją się z ciebie, widzisz? Wyśmiewają! – szeptał głos.

- Milcz, siło nieczyste, zgiń, przepadnij – uciszała go.

- Litują się nad tobą, zobacz, jakim litościwym wzrokiem na ciebie patrzą, pogardzają i litują się! – mówił innym razem. – Nie daj się, nie pozwalaj, zbuntuj się!

- Boże, miej litość nade mną grzeszną i broń mnie od złego – modliła się wtedy, by odpędzić te pokusy.

Dzień dobiegał końca. Na fajrant do kuchni zajrzała gospodyni. Wcześniej prawie wcale się nie pojawiała.

- Jak wam idzie robota? Wystaracie się aby na czas? – pytała gniewnie.

- A co mielibyśmy się nie wystarać? Jutro przystroimy ciasta i upieczemy mięsa. Będziemy na czas – uspokajała Jadzia.

- Bigos niedobry! – skrzywiła się Kuchtowa, posmakowawszy nieco z dużego garnka. – Ryba niedosolona! Pod stołem bałagan! Słabo się staracie, Jadwigo! Jak tak będzie dalej, obetnę wam z wypłaty! – wrzasnęła, trzasnęła drzwiami i poszła.

Jadzia wracała do domu ze łzami w oczach.

- Innej to by się tak nie odważyła – snuła po drodze smętne myśli. – Tylko mnie, biednej, pogardzanej. Całe dni tyram za pół darmo i dobrego słowa się nie doczekam. Bodaj by ich ... – nie dokończyła, bo sama się przelękała swych słów. – Co się ze mną dzieje? Nie wytrzymam dłużej tak żyć.

W sobotę od rana w kuchni znowu wrzała robota. Kobiety uwijały się jak w ukropie. Jadzia była jakaś nieswoja. Wszystko jej z rąk leciało, co rusz o czymś zapominała.

- Czyście dziś chora? – pytała Agnesa. – Dziwnie mi wyglądacie.

Przed południem gospodyni parę razy zaglądała do kuchni, patrzyła surowym okiem, wydawała zalecenia. Za każdym razem coś skrytykowała, ciągle pytała się, czy aby na pewno zdążą.

W końcu orszak weselny wyruszył do kościoła. Rodzice pobłogosławili młodych i wszyscy pieszo przez las udali się do Kiełpina. Jadzia trochę odetchnęła.

- Będzie chwila spokoju – pomyślała i usiadła na ławie. Kątem oka dostrzegła, jak Agnesa wysypuje sobie do woreczka i chowa do kieszeni porcję soli, a potem pieprzu. Już wcześniej widziała, że sąsiadka lubi podbierać.

- Ładnie to tak, podkradać drugiemu? – skarciła Agnesę.

- Cicho bądź, głupia! – odrzyknęła złodziejka. – Bogaci są, nie zbiednieją. Sama byś lepiej o sobie czasem pomyślała. A spróbuj co rzec gospodyni! Wszystko na ciebie zepchnę i ciekawe komu dadzą wiarę?

W Jadzię jakby piorun strzelił. Uroniła kilka łez i dalej wzięła się do roboty. W piecu nie chciało się palić. Trzeba było podgrzewać do obiadu, a nie było na czym. Ogień co chwilę gasł. Jedna z dziewcząt bez przerwy męczyła się przy blacie. Nagle z paleniska buchnął wielki płomień, dziewczynę odrzuciło aż pod stół, uderzyła ręką o ławę i głośno krzyknęła. Garnek z rosółem uniósł się nieco nad fajerką, po czym runął z powrotem i przewrócił. Cały rosół znalazł się na podłodze. Jadzia podskoczyła przestraszona i upuściła pudełko z solą wprost do garnka z ziemniakami. Zaledwie uwinęły się z tym bałaganem i obandażowały dziewczynie rękę, a druga pomocnica potknęła się na progu, upuszczając stos talerzy. Z niemiłosiernym hałasem upadły na podłogę jadalni.

Czas mijał nieubłaganie.

- Boże Święty, co my zrobimy? – strach ogarniał Jadzię. – Mięsa zimne, rosół wylany, przesolone ziemniaki nawet nie zaczęły się jeszcze gotować, talerze potłuczone,... a co to, co to za zapach? – odwróciła się, czując wyraźną woń spalenizny, na blacie dużym płomieniem palił się tłuszcz na patelni a razem z nim mielone kotlety. W tym samym momencie do kuchni z miotłą w jednej ręce, w drugiej z wiadrem i resztkami talerzy wbiegła Agnesa:

- W lesie słyhać już orszak weselny! Muszę iść do domu... oporządzić chowę – zawołała i już jej nie było. Pod ścianą zostały dwie pomocnice, jedna ze zwichniętą ręką na temblaku a druga z zakrwawioną nogą. Stoły świeciły pustkami. Otwartymi drzwiami dolatywała weselna muzyka pomieszana z piskami i śmiechem weselników. Jadzi coś zamigotało przed oczyma. Osunęła się na ławę, bo czuła, że robi jej się słabo. Przed oczami zamajaczyła gospodyni. Zbliżyła się, groźnie potrząsając w prawą ręką i strasznie coś wykrzykując. Żrenice płonęły jej gniewem, druga dłoń zaciskała się w pięść.

- Zostaniesz srogo ukarana – odezwał się głos w jej głowie. To twoja wina!!! A jaki wstyd! Wszyscy będą ciebie wytykać palcami. Gospodyni ci nie zapłaci. Zostaniesz ukarana, ukarana...

- Zostaniesz surowo ukarana – darła się gospodyni.

- Dlaczego ja? – krzyknęła na całe gardło Jadzia. – Dlaczego znowu ja? Ukarz ich, idą sobie beztrąsko i się bawią, śmieją się, umizgują do siebie! Ich ukarż, nie mnie! Niech poczekają, dlaczego się tak spieszą, idą sobie lekko wypoczęci i wystrojeni! A ja tu haruję! Zatrzymaj ich, niech zatańczą tam w lesie, a my się przyrządzimy! – własny krzyk pomógł jej oprzytomnieć. W kuchni nikogo nie było oprócz dwóch wystraszonych pomocniczek. Ogień na blacie zgasł. W jadalni stoły dalej świeciły pustkami, tylko muzyka przestała grać.

- A gdzie weselnicy? Gdzie gospodyni – pytała zdezorientowana Jadzia.

- Nie było tu nikogo – odparły dziewczyny.

Wylękłona Jadzia wybiegła na drogę. Była pusta.

- Jak to, a gdzie oni? – struchlała ze strachu rozglądała się wokoło. Niepewnie ruszyła w stronę lasu. Nigdzie ani śladu orszaku weselnego, nigdzie. Jadzia ciągle biegła, aż nagle zatrzymała się gwałtownie. Zamiast weselników ujrzała kamienny orszak. Wszyscy, tak jak szli, zostali zamienieni w kamienie, w ciężkie, duże głazy. Jadzia padła na kolana przed parą młodą i straszliwie zaszlochała.

Wesela już nigdy nie dokończyła. Kamienny orszak do dziś tkwi w tym samym miejscu, na skraju lasu w Borczu.

15 O BURSZTYNIE

Dawno, dawno temu jedynym panem Bałtyku był Gosk - bożek mieszkający w pałacu na dnie morza. Władał on wiatrem, sztormem i falami. Gdy odpoczywał, Bałtyk był spokojny i żadna fala nie mąciła jego powierzchni. Gdy obchodził swe włości, wiał lekki wiatr, który napędzał żagle rybackich łodzi. Czasem jednak Gosk wpadał w złość. Wówczas sztorm burzył morze, groźne fale biły o brzegi, a śmiałkowie, którzy na czas nie wrócili z morza do domu, ginęli w morskich odmętach.

Bożek ten mieszkał ze swą piękną córką. Na imię miała Jurata. Bardziej niż morskie głębie interesowało ją życie ludzi. Często wychodziła na brzeg i z oddali spoglądała na Kaszubów pracujących w polu lub na rybaków wypływających w morze. Widywano ją najczęściej w księżycowe noce i ciepłe, słoneczne poranki. O jej urodzie wkrótce zaczęły krążyć legendy. Morska panna tak rzadko przebywała u boku ojca, że nie posiadała władzy nad morską kipiela. Można sobie wyobrazić, jak bardzo smuciło i bolało to Goska.

Jurata zaś upodobała sobie młodego rybaka i ku niemu po falach słała tęskne spojrzenia. Gdy go dostrzegła w oddali, syciła oczy widokiem urodziwego młodzieńca. Był on w istocie wysoki i silny, a przy tym bardzo zwinny. Robota szła mu gładko a bystre oczy śmiały się do ludzi. Pogodna twarz nie była też pozbawiona dostojeństwa. Nic dziwnego, że to właśnie jego pokochała Jurata.

Pewnego razu, gdy rybak sam wyruszył daleko w morze, postanowiła uczynić to, czego córce władcy Bałtyku nie było wolno – zbliżyć się do człowieka. Ukradkiem podpłynęła do łodzi i pomagała w pracy. Nie uszło to uwadze rybaka. Dostrzegł nimfę w przejrzystej wodzie i zdumiał się jej urodą. Oczy zapłonęły miłością, a dłoń sama wyciągnęła się w jej kierunku. Jurata była zbyt szczęśliwa, by się wahać. Przyjęła zaproszenie. Zrobiła to, o czym od dawna marzyła – stanęła w łodzi obok ukochanego.

Tego dla Goska było już za wiele. Od początku nie podobało mu się, że córka interesuje się ludźmi. Gdy zaś dostrzegł, że zakochała się w rybaku, rozgniewał się nie na żarty. Na coś takiego nie mógł pozwolić.

Wtedy też Bałtyk pokazał swe groźne oblicze. Rozszalała się gwałtowna burza i nadsięgnęły ogromne fale. Łodzią rzucało jak łupiną orzecha. Gosk miał jeszcze nadzieję i przyzywał Juratę, lecz ona wolała pozostać ze swym ukochanym. Wystraszeni sztormem natychmiast skierowali się ku brzegowi. Gosk wpadł we wściekłość. Fale jednym uderzeniem zdruzgotały łódź rybaka a jego samego pogrążyły w morskich głębinach. Wobec potęgi ojca Jurata była bezradna. Straciła swoją miłość.

Gdy Bałtyk ucichł wydobyła ciało ukochanego i pochowała na rozewskim brzegu, aby młody rybak z góry mógł spoglądać na umiłowane morze. Sama zaś półprzytomna i przepelniona bólem siedziała przy mogile i płakała. Łzy spływały jej po policzkach, spadały na ziemię, na płatki kwiatów i sosnowe igły, po czym toczyły się ku morzu. A że nie były to łzy zwykłej dziewczyny, każda zamieniała się w kawałek bursztynu.

Gosk zbierał pieczołowicie łzy ukochanej córki i budował z nich wspaniały pałac. Ale Jurata nie miała już zamiaru wracać do okrutnego ojca. Wtedy wściekły Gosk wzburzył Bałtyk tak potężnie, że bursztynowy pałac rozpadł się na milion kawałków.

Do dziś w czasie sztormu są one wyrzucane na brzeg. A jeśli komuś uda się znaleźć kawałek bursztynu, niech wie, że to łezka bogini Juraty, która bardziej niż okrutnego ojca pokochała kaszubskiego rybaka.

16 O JEZIORZE OSTRZYCKIM

Księżniczka okolicznych równin zakochała się z wzajemnością w księciu okolicznych wznieśń. Młodzi mieli się pobrać, jednakże w księciu kochała się też pani okolicznych wąwozów - Ostrzyca- której miłość przerodziła się w zazdrość a w końcu w nienawiść. Nasłani przez nią zbóje zamordowali księcia. Księżniczkę od śmierci uratowali przypadkiem tam przejeżdżający rycerze. Gdy ciało księcia przenoszono do jego zamku na Wieżycy sam z siebie odezwał się zamkowy dzwon. W trakcie pogrzebu zrozpaczona księżniczka przebiła swe serce sztyletem, wskazawszy wcześniej Ostrzycę jako winną śmierci księcia. Wtedy z tłumu wystąpił niezwyklej mocy człowiek i przepowiedział Ostrzycy śmierć. Wówczas spod ziemi wytrysły strumienie wody i porwały Ostrzycę. Strumienie wody spływały z Wieżycy tak długo, aż całkiem zalały wąwozy będące dotąd królestwem Ostrzycy. Tak powstało Jezioro Ostrzyckie. Strumienie wody porwały też ciała księcia i księżniczki i zaniósły je do podwodnego zamku, gdzie zakochani zostali połączeni węzłem małżeńskim na wieki.